
cena 1 Z
teatr
i życie
wytworne
N°1
S. NORBLIN



LOUIS DE BARY
Louis de Bary
Vintage
GRONOWSKI
VINTAGE
Louis de Bary

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK III — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 1

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA Nr. 26. TELEFON 525-85.



Notarjalnie stwierdzony nakład niniejszego numeru wynosi
10.500 egzemplarzy

TREŚĆ NUMERU:





„PRZYJACIELE" — Fot. Fox

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

NOWE PISMO.

Czy rzeczywiście nowe? A, jeżeli tak, to co przynosi nowego i czem się od innych pism odróżnia?

Znamy pisma piękne.

Znamy pisma ciekawe.

Znamy pisma wielkie.

Znamy pisma tanie.

Ale – i pytanie to rzucamy bez fałszywej ambicji i bez fałszywej skromności – czy mieliśmy już kiedy w Polsce tygodniowe pismo ilustrowane, które byłoby jednocześnie pięknem, ciekawem, wielkiem i taniem?

Nie.

Czy pismo takie dziś mamy?

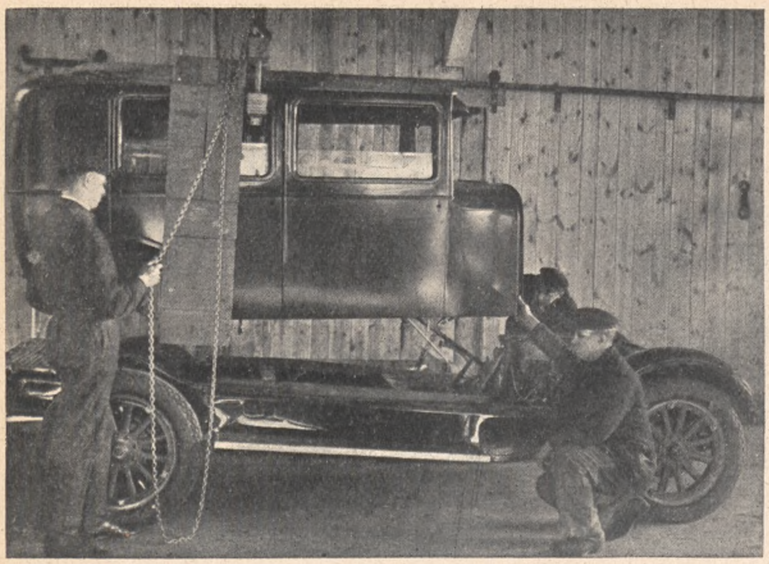
Tak.

Jest niem tygodnik „7 DNI".

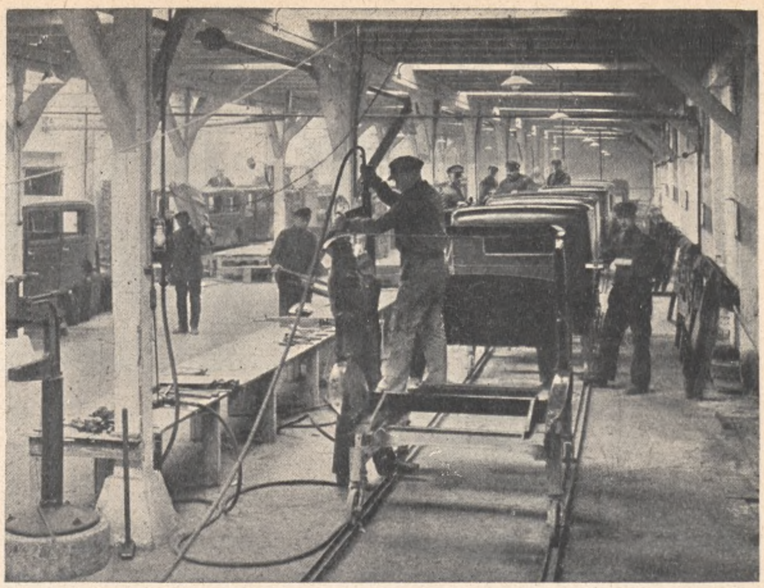
Potrzebę takiego pisma oddawna odczuwali wszyscy Polacy. Wiedzieli o niej wszyscy wydawcy. Ale dopiero my mieliśmy odwagę je stworzyć.

Podwaliną odwagi tej jest wiara w Ciebie,

Czytelniku polski!



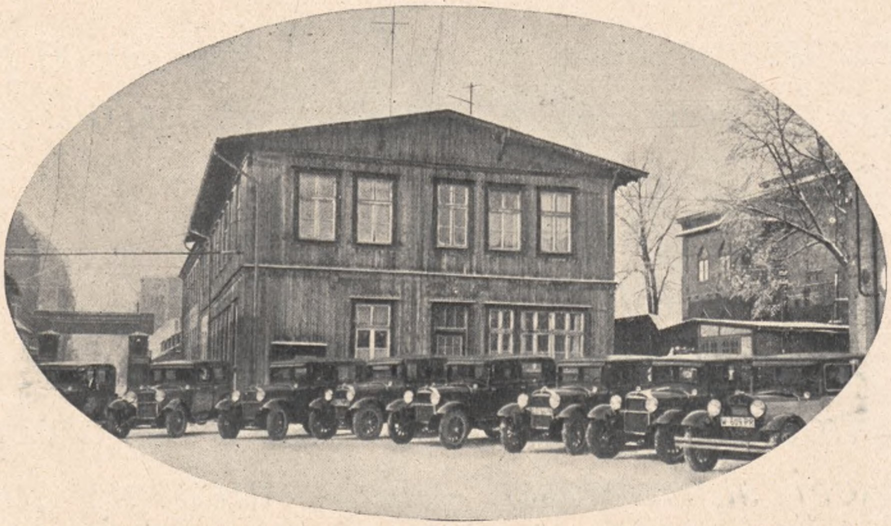
Ustawianie karoserji na podwoziu



Ogólna sala montażowa

JESZCZE JEDNA KRAJOWA MONTOWNIA SAMOCHODÓW

W grudniu 1928 roku uruchomiono w Gdańsku specjalną montownię samochodów słynnej marki amerykańskiej «Hudson-Essex». Uruchomienie tego przedsiębiorstwa zostało dokonane w celu udostępnienia nabywania znakomitych tych wozów na terytorjum Polski.



Pierwszy transport zmontowanych w kraju samochodów „Essex" opuszcza tereny montowni

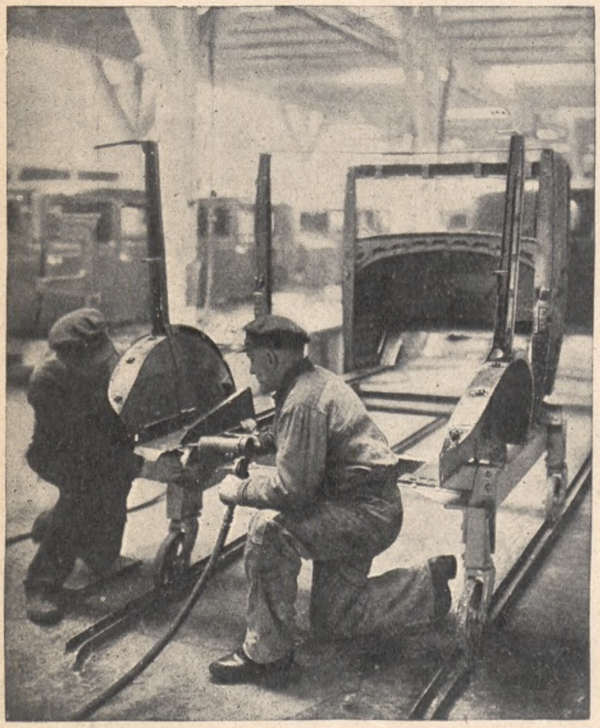
Zakłady «Hudson-Essex Motor Car Company, Detroit Michigan» są trzecią pod względem produkcji fabryką na świecie (pod względem wysokości liczebnej produkcji ustępują jedynie zakładom Forda i General Motors). Zakłady «Hudson - Essex» produkują dziennie 1000 wozów. Wielkim atutem firmy «Hudson-Essex» jest wyłączne prawo eksploatacji idealnego motoru 6 - cylindrowego «Super-Six».

Zakłady «Hudson-Essex» wiele zawdzięczają długoletniej działalności prezesa przedsiębiorstwa, Roy D. Chapina.

Zdobywszy rynek amerykański oraz rynki Europy Zachodniej, kierownictwo zakładów «Hudson-Essex» postanowiło wprowadzić swą markę do Polski i zorganizowało w tym celu na terenie Polskiej Unji Celnej wielką montownię, której otwarcie odbyło się w dn. 19 grudnia przy udziale przedstawicieli Rządu Polskiego, Senatu Gdańskiego, Konsulatu Stanów Zjednoczonych i t. d.

Niezwykle interesujący przebieg montażu samochodu został sfilmowany. Obraz ten będzie wkrótce wyświetlany w Polsce.

Organizacja sprzedaży wozów marki «Essex-Super Six» omówiona została na stronicy 46.



Montownia podwozi

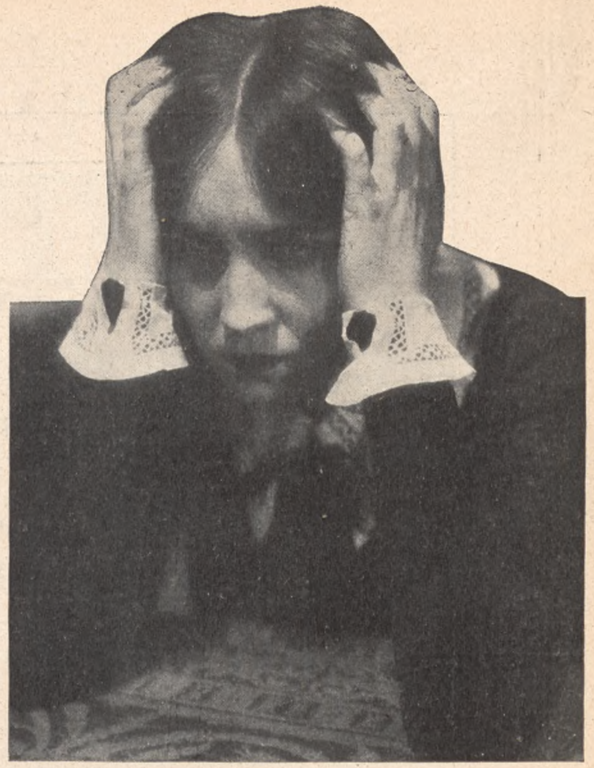


Samochody opuszczające montownię



NAJPIĘKNIEJSZE KOBIETY POLSKIE NA FILMIE

«TAJEMNICA SKRZYNKI POCZTOWEJ»



Marja Bogda — *Iza Bellina*



Wstrząsająca scena z filmu „Tajemnica skrzynki pocztowej"



Marja Bogda i Aleksander Zelwerowicz



Zofja Lindorfówna

Teatr i Życie Wytworne

ROK III — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 1

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA Nr. 26. TELEFON 525-85.



Igła w Buczynowej Turni w Tatrach — *Fot. Oppenheim*

7

«BRAT MARNOTRAWNY»,

komedja w 3-ch aktach Oskara Wilde w teatrze Narodowym.

Reżyserował Juljusz Osterwa.

Sensacją dla teatralnej i pozateatralnej Warszawy są występy w teatrze Narodowym Juljusza Osterwy. Najbardziej zbliżona do farsy ze wszystkich komedji Wilde'a, sztuka nie daje zbyt korzystnego pola do popisu znakomitemu artyście. Mimo to Osterwie zawdzięcza teatr Narodowy w dużym stopniu powodzenie wznowionej sztuki. Gdyby sztuka ta była napisana przez innego autora, fabuła wydałaby się naiwna, a intryga — płaska. Talent Wilde'a jednak czyni wady sztuki jej zaletami, zaś paradoksy, które oddawna już paradoksami być przestały bawią widza i zajmują.

Pośpiech, z jakim sztukę przygotowano, dał się poważnie we znaki na przedstawieniu premjerowem. Później te wady zatarły się i w «Bracie marnotrawnym» teatr Narodowy zyskał sztukę kasową, drugą po... «Panu Jowialskim»!...



Tak znaczne powodzenie sztuk oddawna znanych i ogranych jest sprawdzianem możliwości, jakiemi rozporządza teatr Narodowy. Dlaczego te możliwości dotychczas nie przyczyniły się do powodzenia chociażby jednej współczesnej sztuki na scenie tego teatru — tajemnica ta dotąd nie została gruntownie wyświetlona.

Na czoło wykonawców «Brata marnotrawnego» wysunął się Węgrzyn, który stworzył postać kapitalną, zupełnie niepodobną do innych jego szablonowych kreacji. Od Osterwy odzwyczailiśmy się tak dalece, że nawet dość błaha rola w jego interpretacji wydała się arcydziełem.

Po mistrzowsku cedziła słówka swej roli p. Irena Solska, którą pragnęlibyśmy również zobaczyć w bardziej popisowej i odpowiedzialnej roli.

Pozostałe role kobiece były poprawnie interpretowane przez pp. Halską, Jarszewską i Leszczyńską.



Scena końcowa trzeciego aktu — *Fot. J. Malarski*

JERZY KOSSOWSKI

REDUTA OSTERWY

29 listopada 1919 roku otwarto na ścieżaj Sale Redutowe: Juljusz Osterwa dopiął swego i stworzył teatr taki, jaki chciał mieć, by grać te sztuki, które wybrał, grać je tak, jak on uważał za stosowne, i pracować z tymi ludźmi, których uważał za odpowiednich. Miał w zespole takich aktorów z Bożej łaski, jak Jaracz, Maszyński, Dulembianka, Osterwina i cały zastęp zapalonych ideowców, którzy w Reducie widzieli odrodzenie polskiego teatru i realizację swych marzeń o Czystej Sztuce. Wszystkim tym ludziom paliło się w sercach to samo światło wielkiej, silnej, pięknej namiętności.

Rzucano Reducie kłody pod nogi, na głowy Redutowców rzucano gromy, a efekt był ten, że Reduta stała się czystym przybytkiem Sztuki. Miasto oświadczyło, że nie może pokrywać jej deficytów, krytyka nie rozumiała, dlaczego Reduta gra tylko polskie sztuki, a publiczność nie rozumiała, w jaki sposób „ta zwarjowana Reduta" tak cudowne daje przedstawienia. Wszyscy krytykowali, a wszyscy chodzili tłumami do Reduty.

A Osterwa robił swoje. Miał wtedy ludzi, na których mógł polegać. Deficytów się nie bał: uzyskał zwolnienie od sławnego podatku widowiskowego i zniósł gaże: kto chce pracować w Reducie, musi się zadowolić tem, co jest, a więc raz obiad, a raz próba, raz kolacja, a raz przedstawienie. I o dziwo — nikt nie uciekł. A widowiska szły jedne po drugich imponujące: „Ponad śnieg", „Mały domek", „Pomsta", „Dziwna Ulica", „Judasz", „Przechodzień", „Fircyk w zalotach", „Dom otwarty", „Papierowy kochanek", „Tragedja Eumenesa", „Balwierz zakochany" i cała masa innych. Przystępuje do Reduty L. S. Schiller i idą: „Pastorałka", „Wielkanoc", „Pochwała Wesołości!" Ludziska kłócą się o Redutę: a to źle! a to dobrze, a Osterwa tworzy dalej swoją Redutę. Chce stworzyć zamek, fortecę, redutę, którejby żaden mądry, czy głupi nieprzyjaciel nie zaszkodził. Uśmiecha się i robi swoje.

Ma przy sobie Mieczysława Limanowskiego. Stwarzają razem Instytut Sztuki Teat u, którego członkowie pracują równocześnie jako aktorzy na cenie. Praca ta przeszkadza mu w pracy instytutowej, więc Osterwa decyduje się szybko: Reduta przestaje być teatrem i cały rok nie gra. Osterwa prowadzi w tym czasie teatr Narodowy. Pracuje niezmordowanie, ale po roku widzi, że musi z Redutą z Warszawy: wywozi ją do Wilna. Odnawia tam olbrzymi budynek na Pohulance, stwarza dwa zespoły objazdowe, robi wypad do Rygi, Dźwińska i Rzeczycy, w grudniu 1924 r. otwiera teatr „Wyzwoleniem" w niewykończonym teatrze i powiada sobie i swoim: zdobyłem.



Juljusz Osterwa w roli „Księcia Niezłomnego" Calderona – Słowackiego. (Z minjatury K. Dąbrowskiej)

I dziś jest w Polsce Reduta Osterwy. Inaczej jej nazwać nie można. Jest jego, bo on ją stworzył. Reduta objeżdża rok rocznie około 200 miast, dając w nich po kilka przedstawień, grając na kilka zespołów. Bywały wypadki, kiedy Reduta dała po trzy i pięć przedstawień



Wagon Nr. 7141, w którym Reduta odbywa swe podróże po Kresach Rzeczypospolitej



„Fantazy z Nowej Dejaniry" J. Słowackiego

JULJUSZ OSTERWA

W MINJATURACH

KAZIMIERY DĄBROWSKIEJ



„Mazepa" J. Słowackiego

tego samego dnia. Szczyt wysiłku i organizacji.

W roku bieżącym dała szereg przedstawień, które Junosza-Stępowski stawia ponad wszystkie, w jakich w życiu brał udział. Obecnie Wilno procesją chodzi na przedstawienia „Kordjana". Porywa tu nietylko sam Osterwa, który przeszedł siebie, ale oszałamia całość widowiska. A równocześnie druga część zespołu jeździ po Duksztach, Głębokiem, Sokółce, Lidzie, Nowogródku, Białymstoku, Suwałkach, Augustowie i innych głodnych polskiego słowa miastach i miasteczkach, które mają w ten sposób pierwszorzędny teatr, jakiego może im pozazdrościć Warszawa. Takich



„Ponad śnieg" St. Żeromskiego

widowisk, jak „Wielkanoc" na ruinach zamku w Nowogródku, w Wilnie na dziedzińcu Uniwersytetu, we Włodzimierzu Wołyńskim przed kościołem Farnym, w Krzemieńcu na górze królowej Bony, we Lwowie przed kościołem O. O. Domikanów — Warszawa nie miała. A w ślad za niemi poszły takie, jak „Książę Niezłomny", który rozrósł się w inscenizacji Osterwy w olbrzymie widowisko, z setkami statystów konnych i pieszych.

Reduta stała się placówką społeczną: nazywają ją na Kresach „Polska Macierz Teatralna". Są tacy, którzy Osterwę nazywają złośliwie społecznikiem. A tak, jest społecznikiem w najdodatniejszem tego słowa znaczeniu: działa społecznie poprzez sztukę.

Powiadają z prawdziwem współczuciem: Osterwa tam się marnuje! Powinien być na wielkiej scenie!

Nie martwcie się: Osterwa dusił się w Warszawie, a w Wilnie robi to, co chce. Nie marnuje się, tworzy i jest pożyteczny. A teraz przystąpił do realizacji starego planu: chce odwiedzić Pragę, Wiedeń, Paryż, Londyn i... Amerykę!

Tak, dziś, kiedy go w Warszawie niema, radzi go sobie ludzie wspominają, ale kiedy był, wtedy pola do pracy, środków i swobody



„Sułkowski" St. Żeromskiego



„Orlę" Rostanda



„Zemsta za mur graniczny" A. Fredry



„Ptak" Szaniawskiego

działania dać mu nie chcieli! Teraz go wspominają:

Ach, jak grał „Orlę!"
A jak „Sułkowskiego"!
A „Fantazy"!
A w „Ponad Śniegu" Wika!
No! przypomnijmy sobie jeszcze:
Student w „Ptaku":
i „Mazepa",
i Wacław w „Zemście".

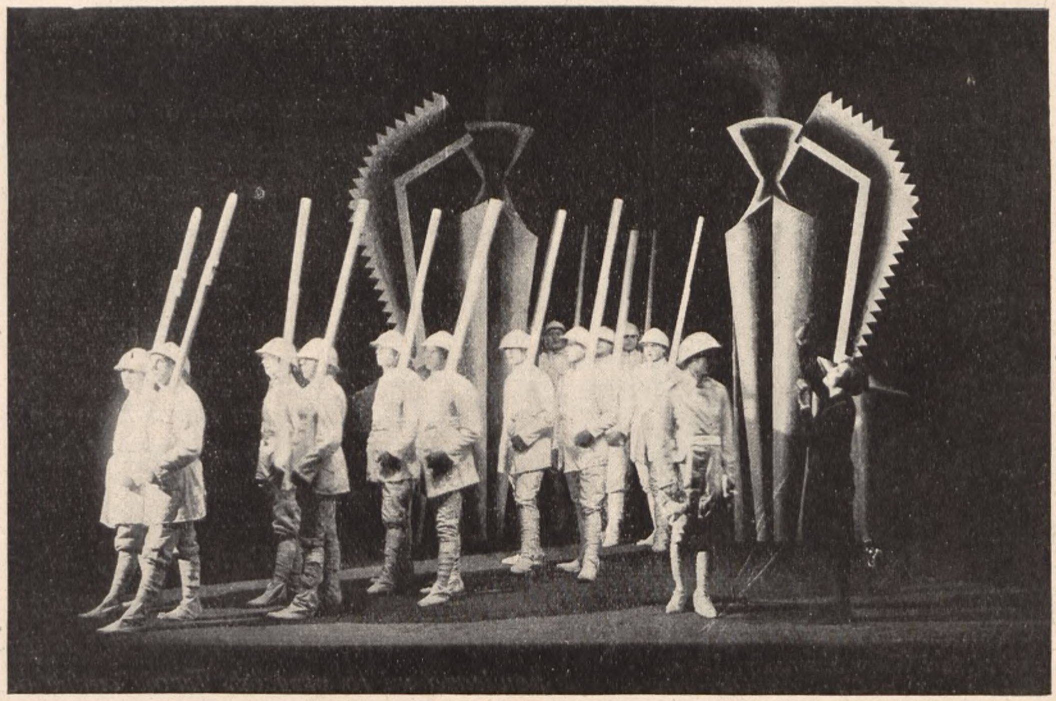
Pamiętacie? A ta cała olbrzymia reszta w komedjach i dramatach? Nie wymieniamy, bo to bolesne. Tak, a teraz to wszystko ma prowincja.



„Wyzwolenie" St. Wyspiańskiego

Pogardzana, głupia, niekulturalna, ale kochająca Redutę, prowincja. I Reduta jeździ — ot takiemi wagonami i ta prowincja pod te wagony znosi jej takie wieńce, jak pod owym sławnym wagonem Nr. 7141!

Ale nie dziwcie się: Osterwa ma wolę, wie, czego chce. a jeśli mu się jakiś eksperyment (znienawidzone w Warszawie słowo!) nie uda, to chyba dlatego, że zbyt wierzy ludziom. Dotychczas zawodzili go tylko ludzie. Sztuka go jeszcze nigdy nie zawiodła. Pociesza się jednak tem, że „vita brevis, ars longa".



„Sen" Kruszewskiej w inscenizacji Reduty

TADEUSZ TARCZYŃSKI

LIST

Zapadającą szarą wieczoru godziną,
rodzącą w duszy jakieś przedziwne nastroje,
gdy myśli, jalą marzeń niesione, nadpłyną,
gdy się w cichości wielkiej serce słyszy swoje —
piszę mój list.

Zdaje mi się, że jestem przy Tobie, o Pani,
że patrzę w Twoje dobre, cudowne oczęta,
żeśmy w tę ciszę tajemną wsłuchani,
że przedemną jest jakaś kraina zaklęta,
w którą ja muszę iść.

Może tam kwiaty, w blaskach się słońca kąpiące,
zobaczę idąc w te nieznane światy,
to będę wtedy biegał radosny po łące
i zbierał będę najpiękniejsze kwiaty,
by Ci je rzucić do stóp...



P. Marja z Sapiehów Wabia - Wabińska
Fot. St. Brzozowski



P. Halina Konarzewska, córka I Wiceministra Spr. Wojsk. poślubiła p. Włodzimierza Łaszkiewicza, właściciela dóbr w ziemi Wileńskiej

A może ta nieznana tajemna kraina
będzie królestwem grozy, w którem niema słońca,
może tam droga słońca i łez się zaczyna —
to wtedy pójdę tą drogą — do końca
i już nie wrócę...

Na list ten nieproszony — odpowiedzią Twoją
niechaj będzie zupełne milczenie...
są słowa, których serca tak bardzo się boją,
są wyrazy, po których umiera złudzenie,
że żyć jest warto...

Nie mów mi nawet, Pani, żeś mój list czytała. —
Niechaj się własnem kołem życie dalej toczy...
Gdyby w niem iskra szczęścia dla mnie zatlić miała,
powiedzą mi to przecież Twoje cudne oczy,
wszystko powiedzą.

W WIRZE KARNAWAŁU

A więc tak jak przepowiadałam, zaraz po Sylwestrowym wieczorze życie zawirowało, zakotłowało, roztańcowało się, rozblackbottomowało. Z nocy zrobił się dzień, z dnia noc, najgorsza z nocy, bo bezsenna. W tym wirze i pędzie, w daremnych usiłowaniach zdążenia na wszystkie, odbywające się tej nocy, zabawy, ludzie zapominają nieraz przywitać się z najlepszymi znajomymi, nie mają czasu na wymianę paru zdań, bo z balu Jedwabiu trzeba zdążyć na bal Mody, a potem jeszcze na Redutę, żeby wreszcie nad ranem uzyskać chwilę zasłużonego spoczynku w zacisznym kąciku jakiejś Oazy, która staje się istną oazą, dla śmiertelnie znużonych wędrowców.

Bardzo trudno w tym zwartym ruchliwym, wiecznie opieszałym tłumie rozeznać linję, decydującą linję najmodniejszą, na młody rok 1929, sylwetki. Zdaje mi sie, że się suknie wydłużają coraz bardziej. Na balu Mody kandyduje na królową p. Majdrowiczówna, spowita przez Boguchwała Myszkorowskiego w powłóczyste zwoje śnieżnobiałego satin fulgurant, na którym bryllantowy haft znaczy stylizowane pawie pióra.

Na balu autorów dramatycznych było również dużo długich sukien. P. Kościeszanka, której nazwisko sprawia zawsze tyle kłopotu Jarosy'emu gdy prowadzi rewję mody, miała bardzo długą z tyłu krynolinę ze srebrzysto-popielatego crêpe satin. Śliczny to kolor, dyskretny, wykwintny i niebywale awantażowny dla blondynek o ładnej cerze. Imponująco jak zawsze wyglądała p. redaktorowa Fryze, w obcisłem, wydłużonem do tyłu fourreau ze złoto-rdzawej koronki owianej tuniką z brązowego tiulu. Ale obok tych pięknych, długich toalet widziało się szereg równie pięknych — krótkich. W pierwszym rzędzie prześliczna p. Karolowa Herse jaśniała całkiem wyjątkową urodą w białej krótkiej sukni, zaszytej od dołu do góry, jak pancerz, paciorkami givvés.



Ta mała piła dziś...

Podobną w linji suknię, zrobioną z czarnego dżetu miała p. Gromnicka, a p. Gorczyńska zademonstrowała oryginalną kreację wieczorową, której asymetrja polegała nie na nierównym cyrklu, lecz na dziwacznym, sterczącym z boku grzebieniu ze sztywnej tafty. Ekscentryczna w pomyśle, suknia ta w całości wypadła nadspodziewanie ładnie i dystyngowanie. Jedyną jej ozdobę stanowił płaski japoński haft w tonach perłowych i białych.

Przybrań głowy widzi się w tym karnawale znacznie mniej niż w ubiegłym. Peruczki też wkładają jedynie panie wybierające się po balu na redutę. Większem powodzeniem niż peruczki z kordonku cieszą się peruki z jedwabnej peli, których obecnie nie układa się w wielkie łamane boki, tak nie licujące z współczesną sylwetką. Tylko się onduluje na wzór modnie, krótko ściętych garsonek. Wszystkie pokusy Paryża widuje się na warszawskich balach, nic nie jest za piękne i za kosztowne, dla tych co się bawią w karnawale.

Poważnym głosem w tej karnawałowej symfonji odzywa się bal Polskiego Jedwabiu, przychodząc w sukurs daremnym nawoływaniom Ligi Samowystarczalności, której morały nie znajdują echa w roztańczonym, balowym tłumie.

Dobry przykład idzie z góry. Pani Prezydentowa Mościcka, a wraz z nią żony ministrów występują na tym balu w toaletach ze stuprocentowego polskiego jedwabiu, nietylko wytkanego w Polsce, lecz i wyhodowanego w pierwszej polskiej stacji doświadczalnej w Milanówku. Wieziony w tryumfie wjeżdża olbrzymi oprzęd jedwabniczy, wyskakuje z niego zgrabna panna przebrana za motyla (motyl niewątpliwie polski) i ofiarowuje p. Prezydentowej, jako protektorce polskiego jedwabnictwa piękny bukiet kwiatów.

Narazie przebieramy się w polskie wyroby, tak jak przebieramy się, idąc na redutę w domina. Dobre i to na początek. Może z czasem nauczymy się naprawdę ubierać w polskie jedwabie, zwłaszcza gdy ich będzie więcej, co daj

Boże jaknajprędzej, bo są mocne i ładne. Za to zdaje się że coraz bardziej zatracamy upodobanie do przebrań karnawałowych. Na redutach widuje się kostjumy fantazyjne przeważnie wyłącznie na personelu teatrów miejskich, który je wypożycza bez ceremonji z teatralnego inwentarza. Mniejsza zresztą o Reduty, bo na ten ścisk i kurz to właściwie szkoda ładnego kostjumu. Ale wartoby wskrzesić dawne bale kostjumowe.

Taki bal prywatny, dla niezbyt wielkiej ilości osób, kostjumy utrzymane w stylu jednej epoki, np. z czasów Księstwa Warszawskiego lub polskiego Rokoka, toby było prześliczne i o wiele mniej banalne niż te odwieczne herbatki tańcujące. Bal taki wydany przez którąś z naszych minitrowych, dla bawiącej w Warszawie zagranicznej dyplomacji, miałby nawet znaczenie propagandowe. Możnaby wskrzesić wejście wojsk napoleońskich do naszej stolicy, pokazać Napoleona, Murata, księcia Pepi, hrabinę Anetkę Potocką, panią Walewską... Pomysł dobry, prawa wynalazcy nie zastrzeżone, oddaję darmo.



Marja Malicka i Zbyszko Sawan na balu Związku Autorów Dramatycznych w salonach hotelu Europejskiego *Fot. Ed-Fi*



Na Balu Mody, ogólną uwagę zwracała na siebie wytworna toaleta, wykonana w pracowni S. Magnqué (Nowy-Świat 27)

Najpoważniejsze jej konkurentki, to Zula Pogorzelska ubrana przez Zmigrydera w różową z niebieskim krynolinę i p. Marja Balcerkiewiczówna w powłóczystej sukni princesse od Lucyny. Niebezpieczną konkurencję stanowi p. Hanka Ordonówna, zakuta w sztywną srebrną lamę, jak rycerz średniowieczny w stal. Pani Mila Kamińska jest srebrna i biała.

ne przez tą przejrzystą różową mgiełkę. P. Leszczyńska siedzi przy stole z p. Gellówną. P. Gella ma suknię z białego jedwabiu, krajowego podobno pochodzenia, i wspaniały storczyk przy dekolcie. Obie artystki nie kandydują na królowe, wolą się bawić przyglądając się bezinteresownie zabawnym perypetjom walki przedwyborczej.

Najbardziej gorączkują się firmy. Taka «Królowa Mody» to przecie tajemnica powodzenia, niewyczerpane źródło dochodów. Nieliczni cierpliwi doczekali rannej godziny, w której królowa z roku 1928 p. Marja Balcerkiewiczówna włożyła swój diadem na chłopięcą główkę p. Pogorzelskiej, obranej królową na r. 1929. Wiele się rozwiało przy tem utajonych nadziei, wiele westchnień rozczarowanych wydarło się z dekoltowanych piersi, kiedy ręce musiały oklaskiwać szczęśliwą rywalkę. Zwolenniczkom krótkich sukien śpieszę zakomunikować, że krynolina nowej królowej była długa, bardzo długa...



Fot. Petef



Luiza Brooks, gwiazda filmowa

Kandydatka na królowę mody, osoba nienależąca do świata artystycznego p. Kochano, ma suknię koloru moreli, rozjaśniającą się i ściemniającą tak właśnie jak dojrzała morela. Filigranową postać p. Oli Leszczyńskiej otacza obłok bladoróżowego tiulu. Dyskretnie skloszowane falbany, stają się coraz ciemniejsze ku dołowi i są długie, bardzo długie. Djabeł nic na tem nie traci, bo szczupłe nóżki artystki wyglądają bardziej kusząco, widzia-



Zula Pogorzelska została obwołana „Królową mody" na rok 1929

„GUSTAW ZMIGRYDER"
na Balu Mody w Hotelu Europejskim



P. J. B. w sukni nagrodzonej przez publiczności w drodze plebiscytu



Mila Kamińska vice-królowa



Hanka Ordonówna, „wice-królowa"



KORNEL MAKUSZYŃSKI

NARTY

W dzień siódmy lutego zjeżdża do Zakopanego cały świat. Zakopane już widziało z obcych nacyj nawet Murzynów z jazz-bandu, są też niejakie podejrzenia, że bawi tu kilkoro Żydów. Byli tu Angliczanie, byli Francuzi, na własne oczy widziałem tu Turka, co zaś się tyczy Italczyków, to w lecie było ich tu sztuk dwanaście, a że ja byłem z nimi ten trzynasty, co nawet Italczyków w zamiłowaniu wina prześciga, łacno więc sobie wyobrazić, że go dużo w Zakopanem nie zostało. Byli tu Szwedzi, byli Duńczykowie, Czesi i Niemcy. Byli nawet Chińczycy, co sprzedawali na Krupówkach papierowe zabawki. Nigdy natomiast nikt tu nie widział Japończyka, bo ten jeden, o którym mówili, że to rozkochany w Tatrach Japończyk, okazał się Żydkiem z Bochni, chorym na żółtaczkę. A dnia siódmego lutego zjadą tu nietylko wszystkie wymienione i widziane tu nacje, ale przyjadą nawet Japońce. Taka to jest straszliwa miłość do dwóch patyków, nazywanych nartami, dnia tego bowiem odbędą się najwspanialsze zawody międzynarodowe na Krokwi, polegające na tem, że rano przedstawiciele wszystkich narodów będą skakali na złamanie karku, a wieczorem już bez markowania wyników będą pili ognistą wodę.

Jak kiedyś koń, tak dzisiaj narty stały się namiętnością i ukochanym sportem. Mężczyźni traktują go na serjo, kobiety zaś z tego powodu, że można wdziewać spodnie i choćby w ten mizerny a niewinny sposób zbliżyć się do czegoś męskiego.

Wszyscy już dziś wiedzą, co to są narty. Ja przez czas długi byłem przekonany, że owe narty, inaczej nazywane „ski", służą jedynie przy układaniu rebusów obrazkowych. W starym „Tygodniku Illustrowanym" dość trudno można było spotkać rebus, w którymby nie narysowano dwóch zadzierżystych deszczułek, co oznaczało ski w jakimś złożonym wyrazie. Mógł to odgadnąć największy nawet bęcwał, taki z dziada pradziada. Okazało się jednak, że są gdzieś na świecie ludzie, co nie znając sztuki układania rebusów, umieją na tem ski jeździć wybornie, co dowodzi, że nawet tłuszczem nalani Eskimosi, wujowie renifera i bratowie foki, umieją wymyśleć coś dowcipnego, ssąc mądrość z zamrożonego i krajanego w kostki szpiku. Teraz zaś, kiedyśmy już niemal całego przewertowali Jacka Londona, straszliwie mroźne odbywszy z nim podróże aż do 40 mili nad Yukonem, wiemy, że bez nart daleko nie zajedzie w tych miłych krajach, gdzie czasem człowiek zjada psa zaprzęgowego, a czasem pies człowieka, jak się zdarzy i wedle tego, na co kto ma ochotę.

Tam jest to sprzęt szanowany i znakomicie pożyteczny, do nas zaś dostał się jako sprzęt wesoły i bardzo zabawny. Z początku był dziwowiskiem, teraz zaś, jak to już niektórym wiadomo ze zdjęć fotograficznych, używany jest nagminnie i bardzo lubiony. I, o dziwo! Wśród wielu nacyj, które w narciarskim rozlubowały się sporcie, Polacy wprost oszołamiające okazują zdolności. Nigdy i od nikogo nie nauczyliśmy się jeszcze sztuk trudnych, takich jak wstrzemięźliwość, oszczędność, praworządność i t. p. — w sztukach jednak śmiałych, grożących każdej chwili skręceniem karku i połamaniem członków, nikt nigdy nie miał uczniów zdolniejszych. Kto inny wymyślił wódkę, ale gdy nam raz pokazano, jak się ją robi, niech kto teraz potrafi zrobić lepszą! Kto inny wymyślił Żydów, a kto ma pierwszą klasę w tym interesie? Nam należy tylko pokazać. Wszyscy ludzie jeżdżą po morzu na korablach, — a my? My umiemy nawet konno, o, panowie bracia, aby Szwed nie myślał, że „się morzem od nas oddzielił!"

Pokazali nam narty: Polak spojrzał, uśmiechnął się, cmoknął z wielkiego ukontentowania i zaczął tak jeździć, jakby w młodości karmili go renifierowem mlekiem, a w starszym wieku foczem sadłem. Otóż to! — bo w nas tkwią nieporównane w tym kierunku zdolności: połowa z pośród nas ślizga się przez całe „życie wytworne", a druga połowa skacze na łeb i na szyję z wysokiej skoczni; co z połowy pierwszej czyni znamienity materjał do biegów płaskich, a z drugiej — skoczków wybornych. Wziąć byle starego wyjadacza, co nigdy w życiu nart nie widział, przyczepić mu je do pedałów i puścić go na śnieg, — ujrzysz, bracie Polaku, że ci będzie śmigał lekko i zgrabnie i nie zawadzi ani o kamień, ani o kryminał. Inny uskoczy w biały niewinny śnieg, jak największy rekordzista świata, tak, że prokurator to tylko mowę straci na chwilę, a ten już dalej bieży wśród pokrzyków i poklasków.

Tacy to zdolni są pośród nas ludzie!

Ci jednak marnują przyrodzone swoje zdolności i nigdy na prawdziwych nartach nie jeżdżą. Narciarze zaś prawdziwi są to ludzie szlachetni i sprawiedliwi, chociaż manjacy i trochę tknięci na rozumie. Kiedy na takiego przyjdzie czas ruji, ściślej mówiąc: okres sportowy, pełen wichrów i śnieżycy, taki to ci się wtedy wyrzeka i żony i kochanki i dziatek miłych i ciepłego łoża, śnieg bowiem tak mu uderza na mózg, że go chwyta szaleństwo; o to się martwi, że śniegu niema na szafie, skądby można uczynić skok próbny. Tyle jest innych zmartwień na świecie, a taki to się tylko tem martwi, że śnieg jest „lepki", czy też „porowaty", czy też, eskimoscy djabli wiedzą, jaki? Jadłby taki biały niedźwiedź, taki pingwin, taki zimorodek, taki Eskimos, taki Ritterschield jeden, ten śnieg garściami. Gdyby mógł, toby z nartami na pedałach sypiał i wszystko inne by robił, tylko że to niewygodnie, a istoty zainteresowane nie pojęłyby piękna tego szaleństwa.

(D. c. na str. 20)



Mistrz Polski Bronisław Czech na starcie

Zima w Tatrach





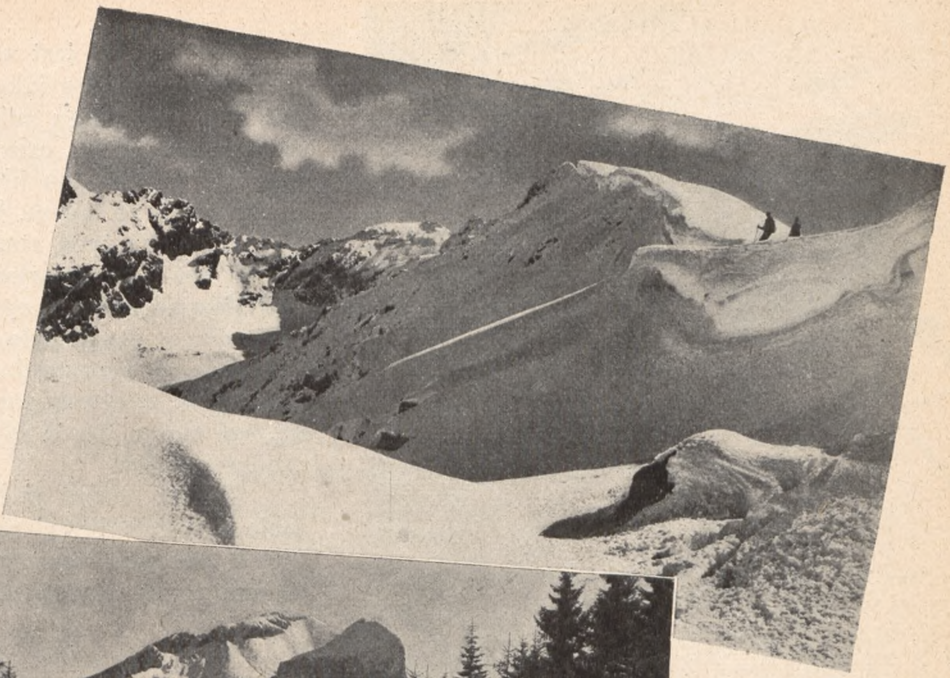




ŚWINICA // ROHACZE // // WIDOK Z KASPROWEGO WIERCHU // // MOTYW ZIMOWY //



GIEWONT



NA NAWISIE SKRAJNEJ TURNI



DROGA DO MORS·OKA



DOLINA STRĄŻYSKA



GIEWONT Z DROGI NA HALĘ GĄSIENICOWĄ

ZAKOPANE



FOT· OPPENHEIM



Narciarz w locie

Narciarstwo jest zresztą najmoralniejszym ze sportów; w każdym innym zawsze jakoś zdarzy się awantura, a z narciarstwem to jest tak: na śniegu nijako, bo i zimno i ślad oczywisty na śniegu pozostaje, a potem człowiek przez pół dnia odmarza, a kiedy odmarznie, to leży, jak kłoda. Nie należy nawet próbować. Lepiej już ulepić sobie ze śniegu bałwana i do niego stroić koperczaki.

Mam dla tych zimowych szaleńców wiele podziwu, chociaż nie znoszą oni lata, na wiosnę wyją z wściekłości, a pod jesień zadzierają głowy, patrząc czy się na śnieg nie zbiera? Nigdy wprawdzie najlepszego przyjaciela narciarza nie mogę rozpoznać, kiedy jest w „bojowym rynsztunku", bo taki ma od mrozu ślizgawkę na gębie, a rzęsy w śnieżystą zamienione szczotkę, cały jest okutany i wita się, też zimno, bo ja idę, starym ludzkim zwyczajem — na nogach, a on ma narty!

To też kiedyś w Zakopanem, kiedy mi życie obrzydnie, złamię sobie umyślnie lewą rękę, siedem zdrowych zębów każę sobie wyrwać u Gabryszewskiego, podmaluję czemś czarnem prawe oko i będę stał przez trzy godziny na mrozie, aby posinieć i żeby mi mózg zamarzł w bryłę lodu. Wtedy dopiero spojrzą na mnie z podziwem i szepną: „Jaki to wspaniały narciarz! Ach, i jaki przystojny..." Bo bez podsiniaczonego oka wyglądam — pożal się Boże!

Dajcie mi więc narty! Niech pada śnieg! A ty — burzo — grzmij!



Pierwszy krok na nartach

Fot. Schabenbeck

Rozumiem jako tako obłąkańców męskiego rodzaju, taki musi przecie z siebie wytrząść wszystkie łajdactwa i musi pozwolić wyparować na zimowym wietrze tej całej propinacji, którą wypił. Cóż jednak białogłowa, albo zgoła panna słodka i niewinna, ma z siebie wytrząsać? A jednak patrzcie: porcięta, biedactwo przywdzieje, na nóżęta buciska wkłada tak straszliwe, że co wstydliwszy i smuklejszy słoń nie włożyłby ich; obłąkanie kolorowym szalikiem owinie szyję łabędzią, czy choćby gęsią, narty czemś bardzo paskudnem długo smaruje i wreszcie wyrusza na śnieg i wałęsa się po nim przez pół dnia, od mrozu i wiatru taka na gębie kolorowa, jako ten jej szalik właśnie. A czasem to się wykopyrtnie i jak śmieszny owad długiemi odnóżami nart wywija. Słodki to jednak musi być upadek na śnieżystej bieli i jedyny, z którego dziewoja niewinna w niezmienionym podnosi się stanie.

Musi być zresztą czar jakiś i jakieś upojenie w tej jeździe, podczas której człowiek w kolorowym szaliku szaremu powiada wiatrowi: „Goń-że mnie, jeśli zdołasz!" A wiatr, jak głupi pies z wywalonym goni ozorem niewiadomo, poco? Piękna to musi być jazda, podczas której człowiek łamie opór wichru i śniegu, a czasem łamie nogę, albo trzy żebra. Narciarz bieży i gubi poza sobą przestrzeń i binokle, sieje poza sobą brylanty śniegu, a czasem zdrowe sieje zęby. Niekiedy krąży wieść po Zakopanem, że wreszcie znaleziono w Tatrach kieł jaskiniowego niedźwiedzia. A to tylko dzielna i nabita w sobie dziewoja narciarska wykopyrtnęła się na jodłowym pniaku.

Hala Gąsienicowa



ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

VERNISSAGE

Bo rodzina, bądźcie pewni, też są ludzie, chociaż krewni...

Żorż ogarnął jeszcze raz spojrzeniem cały intérieur. Zarumienił się z zadowolenia.

— Jest uroczo!

Podszedł do niskiego tapczanu, zarzuconego stosem misternie ułożonych poduszek, usiadł na brzeżku z pewnemi ostrożnościami, wyjął z kieszeni kartkę, we czworo złożoną, i zaczął czytać:

INWENTURA MOJEJ GARSONJERY

1. Tapczan jeden, sprężynowy, z materacem i nakrywą od Szczerbińskiego.
2. Dwanaście poduszek różnych, w tem 5 puchowych i 7 na waldharze.
3. Duży Tekin.
4. Mały stolik turecki do kawy.
5. Dwie lampy: jedna duża, stojąca (batik), druga mała, przy tachcie, z abażurkiem Raczyńskiej.
6. Dwa fotele Biedermeyer, mahoniowe (U w a g a: Dopłacić na Świętokrzyskiej 75 zł.).
8. Szafa jesionowa, antyk. (U w a g a: Dopłacić na Pociejowie 100 zł.).
   W szafie:
   a) Jedna maszynka do kawy.
   b) Dwie filiżanki saskie.
   c) Kafetjera i cukiernica, Malcz.
   d) 6 talerzyków deserowych (Ćmielów).
   e) Koszyk do ciasta, srebrny, uszkodzony.
   f) 2 noże, 2 widelce, 2 łyżeczki.
   g) 1 butelka spirytusu, 1 kg. kawy Mokka, 1 kg. cukru w kostce, $^1/_2$ kg. herbaty, 2 paczki biszkoptów, 1 butelka Vermouthu, 1 butelka Portweinu, $^1/_2$ butelki konjaku V. S. O. P.
9. W alkowie:
   a) Umywalnia z przyborami.
   b) Stolik toaletowy z lustrem, etc.
   c) Puder, róż, nożyczki, szpilki, pilniki, etc.
   d) Apteczka: wata hygroskopijna, jodyna, Kogutki, Walerjana, plasterek angielski, krople Inoziemcowa.
10. W garderobie:
   a) Jedna pyjama męska, jedwabna, reprezentacyjna.
   b) Dwie pyjamy zefirowe.
   c) Jedna pyjama damska, jedwabna, gościnna.
   d) Pantofle nocne.
11. Na ścianach: Sześć sztychów frywolnych, francuskich.
12. Brûle-parfum.
13. Tom erotyków (?)

Żorż zamyślił się w tem miejscu, bo obok pozyji 13-tej widniał znak zapytania: tom erotyków nie był narazie kupiony.

— Hm... „Toi et moi"? Takie oklepane... Może-by któregoś z polskich poetów?

Garsonjerę swą Żorż miał zamiar otworzyć uroczyście właśnie dzisiaj, bo akurat przed godziną zmontowano mu nareszcie telefon. Obiecała się nawet pewna niebrzydka dziewczynka...

Coprawda projektował Vernissage bardziej uroczyste, ale sprawa z panią Murą nie dojrzała jeszcze o tyle, a sprawa z panią Mirą już przejrzała: Mira zdenerwowała się tem blisko półrocznem oczekiwaniem na otwarcie jego garsonjery i zaczęła się orjentować wybitnie wojskowo...

No mniejsza z tem.

* * *

Ba! Garsonjera w Warszawie! Kto się tego zbliska nie dotykał, ten nie wie, co to za kalwarja! W śródmieściu nic niema albo jeżeli coś jest, to na każdem piętrze mieszkają znajomi... Na peryferjach znów, nożowcy i absolutny brak taksówek... A wogóle, łatwiej o pięciokaratowy brylant, jak o dyskretnego dozorcę...

Tę garsonjerę złapał, fuksem, od właściciela domu, z pierwszej ręki, i nawet względnie tanio. Poszczęściło się nareszcie.

Żorż podszedł, pogwizdując, do telefonu i już miał zdjąć słuchawkę, żeby zapytać się, czy urocza jego dziewczynka jest skłonna przybyć za kwadrans, bo wszystko czeka, lampy się bajecznie palą, pachną perfumy, skwierczy Budda, nęcą poduszki —

gdy raptem, w przedpokoju, zadźwięczał mocno dzwonek.

Żorż słuchał.

— Kto to?

Zrobił w myśli błyskawiczny rachunek sumienia, ale nie znalazł żadnego wytłumaczenia tego alarmu. O jakimś zdradzonym mężu, z rewolwerem w garści i z detektywem za plecami, nie mogło być mowy, bo żadnego męża w tej, jeszcze dziewiczej garsonjerze, nie zdradzono... O żadnym wierzycielu też nie mogło być mowy, bo żaden z jego wierzycieli nie znał tego adresu, a meble przewoził sam, w najgłębszej dyskrecji, o zmierzchu, i to nieodrazu, a stopniowo...

Tapczan, bestja, duży był i czterech ludzi potrzebował, do wniesienia, ale to byli ludzie wynajęci, obojętni... Nie, a zresztą tapczan przezornie zapłacił gotówką, co do grosza.

Dzwonek zadźwięczał ponownie, tym razem jeszcze mocniej.

Żorż trochę przybladł—ale zdecydował się otworzyć...

* * *

— Wuj Teofil? Z Gagą i Jędrkiem????

Wuj Teofil śmiał się rubasznie, zdejmując z ramion ogromne szopy.

Dziwi cię ten najazd? My tylko na tydzień do Warszawy, kochany! Nie chciałem z dziewczyną do hotelu zajeżdżać. Zresztą, Gaga już jest taka duża, że musiałbym dla niej brać osobny pokój... Ani ze mną lokować jej nie wypada, ani, tembardziej, z Jędrkiem... Cóż chcesz, kochany? Pannica skończy niedługo 14 lat.

Żorż stał, jak słup soli. Z trudem wykrztusił, po chwili:

— Ale... Skąd-że Wuj dowiedział się o tym adresie?

Poczciwa twarz wuja Teofila rozpromieniała się w szerokim uśmiechu. Klepnął siostrzeńca po ramieniu tak mocno, że się aż biedak musiał oprzeć o ścianę.

— Skąd się dowiedziałem o tym adresie, pytasz? Ha, ha, ha! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! Pisała w zeszłym tygodniu do Gagi jej koleżanka, Szaszka, że mówiono u nich przy stole o twojej garsonjerze!

(D. c. na stronie 24).

W KARNAWALE...

Karnawał!.. Huczna zabawa wre w stolicy—reduty, bale, ba, nawet i teatry pod wpływem ogólnej ochoty nie świecą już pustkami, jak to przeważnie bywa nawet w sezonie.

Że jednak wśród największej ochoty zapominać nie można o żołądku, a czas — co to mówić — przyjemnie upływa w restauracji, pytanie powstaje, dokąd pójść, by radosnego nastroju karnawałowego nie zepsuć?

Dokąd pójść?

Wśród wielu restauracyj warszawskich najmilsza z pewnością jest «Polonja».

Najmilsza — bo posiada estetyczne i wykwintne urządzenie, bo usługa jest doprawdy uprzedzająco grzeczna, bo kuchnia urozmaicona i doskonała, a piwnica zaopatrzona w najlepsze trunki.

Obok sali jadalnej — sala dancingowa, na której przygrywa do tańca i pięknych atrakcyj doskonały jazz.

Czegoż więcej można pragnąć? To też publiczność — a zwłaszcza jej elita — chętnie bywa w «Polonji», stwarzając przyjemną atmosferę, przepojoną szczerą i wytworną «radością życia».

Dodamy wreszcie na zakończenie, że dbała o swych gości dyrekcja «Polonji» zainicjowała od niedawna «thes-dansants», na których od 9-ej wieczorem tłumnie bywa i wesoło!







Noc karnawałowa w „Polonji" jest pełna pogodnego uroku i beztroskiej wesołości



Zbieracz autografów

— O mo... jej...?

— Garsonjerze!

— Skąd... Wiedzie... li?

— Skąd i skąd! Paradny jesteś! Ha, ha, ha! Przecież to nie jest żaden chyba sekret, nie? Kawałkowscy też wiedzą. I Prusińscy... Na ostatniem zebraniu u księdza Dziekana wszyscy tylko o tem mówili i cieszyli się, że będzie teraz gdzie stawać w Warszawie! Bo te hotele, wiesz, i drogie, i niezawsze stosowne... Zwłaszcza kiedy się wpada do stolicy z młodzieżą... No, czego się guzdrzesz, Gaga? Zdejmuj płaszczyk, kładź beret, o, tu — i pomagaj kuzynkowi robić herbatę. Żorż, nie zrobimy ci różnicy?

— Ależ, przeciwnie...

— Byłem tego pewien. Daj, niech ci się przyjrzę... Hm... Mizerny jesteś. Ale wykapana matka. Wykapana!

— Jędrek, co ty tam dłubiesz?

— Myślałem, że to radjo.

— Nie myśl, tylko się rozbieraj, smyku. I pamiętaj, że w cudzem mieszkaniu nie myszkuje się po kątach!

— Ja tylko dotknąłem...

— Łapy przy sobie! No, jazda do pokoju, smarkacze. — Phy, phy, jakie tu szyki... Ale widzę, że łóżka nie masz, tylko tę wielką otomanę?

— Tak, bo...

— No, to nic, to nic. W hotelu nie wypadałoby, ze względu na służbę, ale tu sobie jakoś poradzimy. Kanapisko ogromne, zmieścimy się wszyscy troje. Ewentualnie, Jędrka położymy na dywanie, na jakim materacu... Materac masz?

— M... mam. Na tapczanie...

— Byczo! Zdejmie się z tapczanu i położy na tym dywanie. Pi-pi-pi... Co za dywan... Pers?

— Tekin...

— Odrazu widać. A propos, co do mycia. Masz tu, Żorż, jaki parawanik?

— Parawanu... nie mam.

— To postaraj się o parawan, kochany, postaraj koniecznie! Póki czas. Jeszcze nie jest tak późno. Dopiero piąta...

— Dobrze, wuju...

— Dzieci! Nie gapić się na ściany! Te ryciny, to nie dla was! Gapa! Pomóż wujowi zająć się gospodarstwem! Herbata pewnie w tej szafie?

— T...tak...

— No, już! Raz, dwa, trzy! Żeby kuzynek wasz nie powiedział, że jesteście dzikusy i że robicie w jego garsonjerze nieporządek! Jędrek! Tam jest pewnie umywalka. Idź umyj sobie paluchy! Ten smarkacz wiecznie się musi gdzieś zasmolić... No, siadaj, Żorż, opowiadaj. Jak-że ci się, kochany powodzi?


S. NORBLIN
CORYSE
PARFUMERIE DE LUXE
PARIS



FRIGIDAIRE CHRONI WASZE ZDROWIE, ZABIJAJĄC ZARAZKI, PRZENIKAJĄCE DO PRODUKTÓW



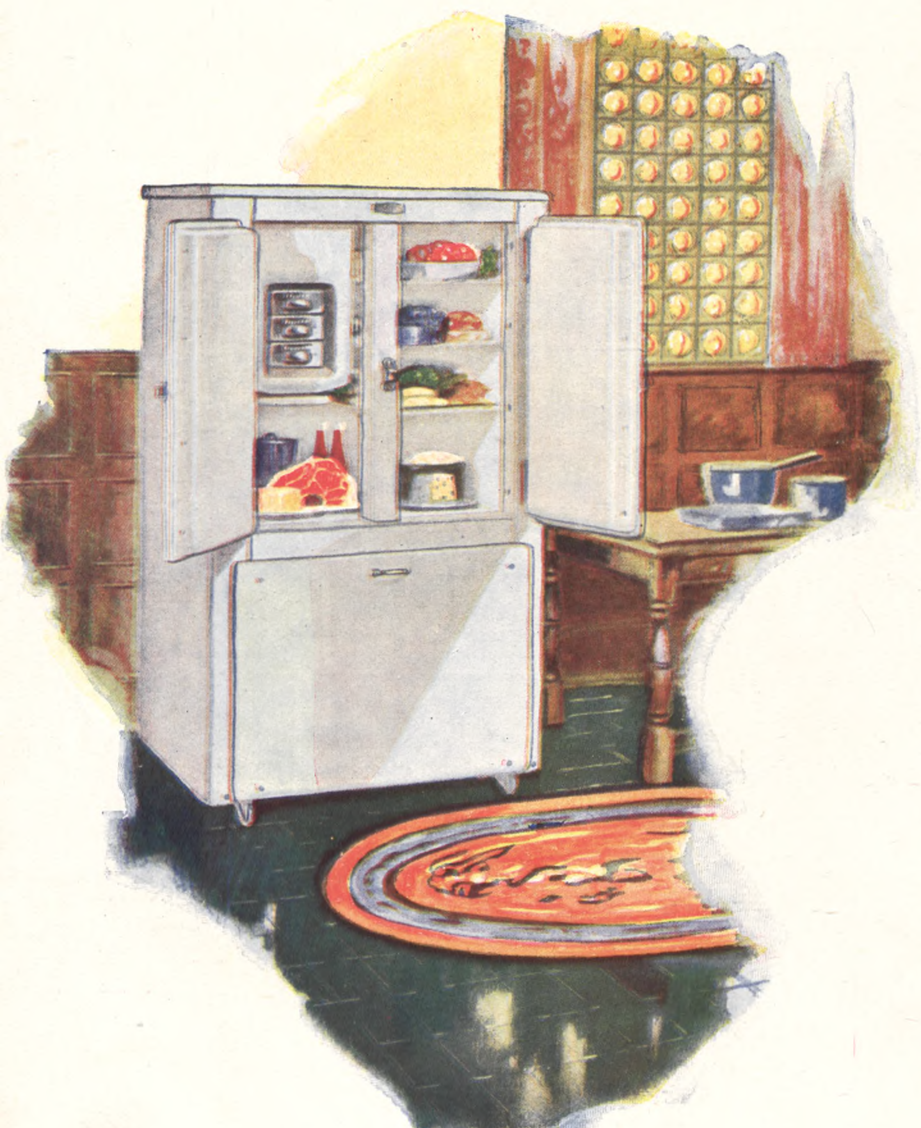


Posiadanie Frigidaire'a umożliwia gospodyni rozporządzanie szeroką skalą potraw i deserów, oszczędzając czas i pieniądz. Frigidaire dostarcza również lód do napojów chłodzących.





Frigidaire daje możność przechowywania zarówno produktów jak i gotowych potraw w przeciągu długiego czasu, zabezpiecza gospodynię przed kłopotami niespodziewanej wizyty.



BUDYŃ CYTRYNOWY

$\frac{3}{4}$ szklanki cukru
3 stołowe łyżki soku cytrynowego
1 stoł. łyżka mąki ryżowej
1 szklanka ukropu
$1\frac{1}{2}$ łyżeczki żelatyny
2 stoł. łyżki zimnej wody
2 białka

Rozmoczyć że'atynę w zimnej wodzie. Zmieszać cukier i mąkę ryżową. Stopniowo nalewać do ukropu. Postawić na ogień i gotować przez 2 miuuty, mieszając. Gorącą mieszaninę nalać na zmoczoną żelatynę i mieszać aż ta ostatnia się rozpuści. Ochłodzić. Dodać sok cytrynowy i mocno zbite białka. Położyć do formy. Na trzy godziny postawić do chłodni Frigidaire. Podawać ze słodkim sosem. 6 porcji.



SUFLÉ KAWOWE

$1\frac{1}{2}$ filiżanki czarnej kawy
1 stoł. łyżka żelatyny w ziarnkach
$\frac{1}{2}$ łyżeczki wanilji
$\frac{2}{3}$ filiżanki cukru
$\frac{1}{4}$ łyżeczki soli
3 jajka
$\frac{1}{2}$ filiżanki mleka

Zmieszać kawę, mleko, żelatynę i połowę cukru i grzać w garnku o podwójnem dnie. Dodać resztę cukru, sól i lekko zbite żółtka i gotować aż mieszanina nieco zgęstnieje. Zdjąć z ognia i dodać białka i wanilję. Rozlać do oddzielnych foremek lub miseczek. Ochłodzić i podawać z bitą śmietanką.



AUTOMATYCZNE CHŁODNIE ELEKTRYCZNE

FRIGIDAIRE

WYRÓB GENERAL MOTORS

Demonstrujemy różne wielkości chłodni w naszym salonie przy
UL. MAZOWIECKIEJ Nr. 11
TELEF. 8-65

„ELIBOR"
SP. AKC. PRZEMYSŁOWO-HANDLOWA
Ł. J. BORKOWSKI



TAPETY

(OBICIA PAPIEROWE)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH
DO NAJBARDZIEJ
WYKWINTNYCH
POLECA

F. STASZEWSKI

FABRYKA WŁASNA

WARSZAWA

Mazowiecka 8, telefon 70-85.


KALOSZE
ŚNIEGOWCE
„PEPEGE"
PEPEGE
MARKA FABR.
WYKWINTNE – TRWAŁE
„PEPEGE" Polski Przemysł Gumowy Tow. Akc. Grudziądz



JADWIGA KIEWNARSKA

SYLWETKI BALOWE

TANCERZE

Jestem zawziętą feministką, ale w pierwszym rzędzie sylwetek balowych bez wahania umieszczam tancerzy. Oni to sól życia... balowego. Nie mam na myśli tancerzy zawodowych, bo nie jestem pewna czy jeszcze istnieją. Może właśnie w chwili kiedy piszę te słowa ostatni z nich zaślubia, wzorem swych poprzedników jakąś, trochę egzotyczną, olśniewająco piękną i odurzająco bogatą księżniczkę, poczem oczywiście przestaje tańczyć.

Piszę o zwykłych, pospolitych tancerzach, tańczących dla własnej przyjemności, a o ile są dobrze wychowani, co się coraz rzadziej zdarza — i dla cudzej. Wolałabym nie pisać o tych, co tańczą ku wielkiemu utrapieniu swoich danserek, powodując kompletną zagładę cudnych pantofelków od mistrza Leszczyńskiego — niestety plemię ach (tych tancerzy nie pantofelków) nie wygasa.



Mam dobrą znajomą, niewiastę dawnego autoramentu, która, urządzając zabawę, układa listę gości w ten sposób, że przy nazwiskach tańczących pań stawia minus, plus przy nazwiskach tancerzy, osoby nie tańczące płci obojej figurują jako zera. Jeżeli uda się osiągnąć liczbę plusów przewyższającą liczbę minusów, moja zacna przyjaciółka promienieje. Przynajmniej wszystkie panny się wytańczą — mówi z zadowoleniem. Otóż ostatnio kilkakrotnie zdarzyło jej się gorzko omylić. Zaproszeni tancerze stawili się jak jeden mąż, kolację jedli każden za dziesięciu pili każdy za dwudziestu ale tańczyli tylko wtedy, kiedy mieli ochotę i z kim mieli ochotę—to znaczy rzadko. Wszystkie mniej ładne i gorzej tańczące panny siedziały jakby je przyklejono do krzeseł. Na domiar złego ktoś z gości znalazł i puścił w obieg zapomnianą na etażerce, ową niefortunną listę gości zaopatrzoną w znaki matematyczne. Wszyscy poobrażali się śmiertelnie na zbyt przewidującą gospodynię za jej dobre zamiary. Odtąd moja przyjaciółka nie urządza już zebrań tańcujących i twierdzi z rozgoryczeniem, że młodzież przedwojenna była znacznie lepiej wychowana. Nikt nie oponuje.

Mam wrażenie, że bliski już jest dzień, w którym jakiś genjalny wynalazca uszczęśliwi ludzkość, ofiarowując jej cudo nowoczesnej techniki — mechanicznego tancerza. Będzie to manekin świetnie zbudowany i nieposzlakowanie ubrany. Będzie się mechanicznie kłaniał i automatycznie uśmiechał. Tańczyć będzie cudownie, tyle ile będzie potrzeba i z kim potrzeba. Będzie się nakręcał jak gramofon. Nie będzie jadł kolacji, nigdy sie nie upije (ważne dla pani domu) nie pocałuje tancerki w dekolt (ważne dla pana). Słowem będzie posiadał wszystkie zalety, żadnej wady. Dowcip i inteligencja są dla tancerza niepotrzebnym balastem, z którego gwar balowy i hałas jazz-bandy nie pozwalają zrobić żadnego użytku.

TANCERKI

Tancerki dzielą się na takie co już tańczą, takie co tańczą i te co tańczą jeszcze. Te co już tańczą poznaje się po roziskrzonym zachwytem wzroku i aksamitnej, nietkniętej pudrem ani różem cerze. Tańczą ze wszystkimi z jednakową przyjemnością, cieszą się ogromnem powodzeniem i wszędzie bawią się doskonale. W tej fazie trwają krótko, nie dłużej niż połowę karnawału, potem stają się trochę znudzone, trochę zblazowane. Tańcząc zdają się robić zaszczyt, zaszczyt o który coraz mniej hołdowników się ubiega. W zwartym tłumie bliźniaczo podobnych czarnych fraków usiłują dojrzeć jakąś twarz inną, jedyną. Nie znajdują, albo jeżeli znalazły, to nie to czego szukały.

A wtedy jeszcze tańczą, coraz rzadziej, coraz gorzej. Tańczą tańce niemodne i same wychodzą z mody. Oczy mają smutne, ruchy niepewne, na nielicznych swych tancerzy spoglądają z nieśmiałą wdzięcznością. W końcu same przestają tańczyć w obawie aby z niemi tańczyć nie przestano. Są zresztą i takie co nie chcą zanic zrezygnować. Wpijają się kurczowo w ramię zdobytego podstępem tancerza, jakby wraz z jego odejściem miał zgasnąć ostatni błysk przemijającej młodości.

GOSPODYNIE

Matka na balu jest artykułem par excellence przedwojennym. To znaczy, matka jako taka, drzemiąca cierpliwie na kanapie, w słodkiem złudzeniu, że pilnuje córki. Powojenna matka albo wytańcowuje na balu zawzięcie, w sukni jaśniejszej i krótszej od sukien córek, albo też rozsądnie zostaje w domu. Nietańczące, starsze damy figurują na balach wyłącznie jako gospodynie. To, że na tym samym balu tańczą ich córki — to zwykły zbieg okoliczności, bez żadnego znaczenia. Matki-gospodynie myśleć o nich nie mają czasu, ani ochoty.

Charakterystyczny dla dwudziestego wieku szał rekordu, opanował szanowne skądinąd matrony. Jest to ich ostatnia namiętność, że ostatnia tem silniejsza. Sprzedać jaknajwięcej biletów, niech się ludzie tłoczą, niech będzie ciasno duszno, gorąco, niech ktoś zemdleje, komuś podrą suknię... Trzy tysiące osób w sali obliczonej na pięćset — to dopiero rekord, to tryumf. A potem emulacja: kto sprzeda więcej nieświeżych pączków, kto dostanie więcej naddatków za kruszon z wody zabarwionej złotą renetą.



Są i takie, które czują

niepohamowaną potrzebę ro=bienia ruchu w interesie. Gospodyni opanowana tą manią chwyta za rękaw pierwszego z brzegu jegomościa we fraku i wlecze siłą do pierwszej lepszej nietańczącej chwilowo damy.

— Moja śliczna (dama jest brzydka) oto właśnie pan Iksiński, który specjalnie przyjechał z Kutnowskiego, aby z panią zatańczyć mazura (na ucho) bogaty ziemianin — i już jej niema. Chwila milczenia. Jegomość we fraku chrząka — Hm, właściwie to muszę panią przeprosić za pewne nieścisłości udzielonych o mnie informacji. Nazywam się Igrekowicz, od urodzenia nie wyjeżdżałem z Warszawy, chyba do Konstancina i... będę pani wdzięczny, jeżeli pani ze mną zatańczy tur walca, o ile zagrają, ale mazura, niestety, nie potrafię... Głupio, ale robiąca ruch matrona nie chce nic wiedzieć o melancholijnem zakończeniu rozmowy przez nią poczętej. Allegro con brio, i w innym końcu sali zaczyna da capo.

A potem mówi o sobie sama, że ma więcej radości życia niż młodzi i że potrafi lepiej od nich się bawić. Ma rację. Ona się bawi.



Barbara Karczmarewiczówna, młoda i utalentowana solistka baletu Opery Warszawskiej popisem w roli czołowej we „Flecie zaczarowanym zjednała sobie powszechne uznanie Fot. Van-Dyck



„Cudowny pierścień", bajka młodego autora Janusza Warneckiego, efektownie wystawiona przez teatr Polski, została równie życzliwie przyjęta przez nieletnich widzów, jak i przez „dorosłą" prasę Fot. St. Brzozowski

MIĘDZY REDUTĄ A ZAKOPANEM

W wirze zabaw karnawałowywych rozpoczęła przebijać nowa nuta: czas porzucić frak i lakierki, należy pakować kufry, by za wszelką cenę zdążyć na zawody narciarskie do Zakopanego. Laikowi, balującemu bez żadnych trosk przez cały karnawał trudno uprzytomnić sobie cały kompleks spraw związanych z taką eskapadą. Przedewszystkiem strój podróżny: futro podróżne, kryte kraciastym suknem w jasnych odcieniach, podbite futrem o niezbyt długim włosie, by figura nie miała kształtów wypęczniałych. Szalik musi być dostosowany do koloru pokrycia, lub też skórek, skoro klapy są również kryte futrem.



Zawczasu też należy zaopatrzyć się w kostjum narciarski. Umiejętność posługiwania się nartami w Zakopanem nie obowiązuje, natomiast należy nosić strój «super-sport» oraz narty, jeśli nie na nogach to przynajmniej na ramieniu.



Dla panów uprawiających sport narciarski godne są polecenia spodnie luźne na całej przestrzeni, w kostkach ujęte w wełniane kolorowe skarpetki, wywinięte nazewnątrz przepisowych trzewików.

Wielce praktyczne, jakkolwiek kosztowne są kurtki ze skóry reniferowej, zamykane systemem éclair. Pod spód jednakże wkładać należy wełniany pulower z kołnierzem, sięgającym aż do podbródka. Ciepłe wełniane rękawice i hełm z miękkiego filcu uzupełniają ekwipunek sportowy «eleganckiego» narciarza. Rzecz oczywista, strój ten nie podlegający szybkim zamianom kroju może przydać się i w przyszłym sezonie przez co wydatek nań jest mniej bolesny.

Po Zakopanem na krótki okres ostatków powróci na widownię frak. Wbrew ciągłym narzekaniom na zmienność mody, frak z podziwu godną stałością zachowuje swój krój. Rozszerzyły się cokolwiek klapy, uległy lekkiemu zwężeniu spodnie — oto i wszystko. Nawet tak gwałtownie lansowana w ubiegłym sezonie kamizelka dwurzędowa ścięta poziomo nie znalazła poparcia u szerszego ogółu i zachowała się jedynie na scenie teatru. Tem mniej szans powodzenia ma propagowana w obecnym sezonie kamizelka o falisto ściętym spodzie.

Smoking zachował tendencję do poszerzania ramion przy wyraźnem zwężaniu stanu. W Paryżu i w Berlinie został ostatnio wysunięty projekt stosowania zapięcia dwurzędowego smokingu. W sferach, usiłujących wytwarzać modę smocking taki jest noszony w tych wypadkach, jeśli przyjęcie nie zawiera w programie tańców. Trudno jednak i tej inowacji wróżyć powodzenie, przedewszystkiem ze względu na mało estetyczny wygląd zewnętrzny.

Biały gors frakowy nie daje narazie pola do popisu inowatorom. Natomiast kołnierzyki w bieżącym sezonie mają kształt nowy. Brzegi są załamane bardzo znacznie i odsłaniają wydatnie szyję. Rozpowszechniony w ubiegłych sezonach krawat szeroki — motylowy uległ pewnemu zwężeniu, wszakże nadal zakrywa całkowicie wyłogi





kołnierzyka. Są panowie o przerafinowanych gustach, którzy uważają za szczyt elegancji ukrywanie krawata pod załamaniami kołnierzyka. Ma to wygląd zgoła nieestetyczny i szpeci wytworny wygląd stroju balowego.

Lakierowane obuwie w naszym klimacie nastręcza niejedną trudność. Żaden, albo prawie żaden wytworniś nie zechce włożyć kalosze, by uchronić obuwie balowe przed wilgocią i błotem. A że nie każdy posiada własną limuzynę, niejednokrotnie spotkać można na balu wytwornego pana w niekoniecznie czystych lakierkach.

W takich warunkach należy wzorując się na anglikach stosawać lakierowane półbuciki, zaś tylko na wyjątkowo uroczyste bale wkładać czółenka z delikatnej cienkiej skóry.

Cylinder, powszechnie używany w krajach Zachodu, u nas jest stosowany bardzo rzadko— na uroczystości państwowe lub pogrzeby wybitnych osób. Etykieta w Warszawie stosowana nie przywiązuje większej wagi do okrycia, stosowanego do stroju wieczorowego lub balowego. Za przykładem Ameryki i europejczycy zaczęli zastępować cylinder melonikiem, a nawet i zwykłym filcowym kapeluszem.



Równocześnie odumarły prawie zupełnie wykwintne męskie narzutki balowe. Czarne futro męskie z peleryną — przed wojną noszone z reguły przez każdego wytwornego pana, stała się obecnie okazem muzealnym. Ostatni w Warszawie przedstawiciel mody przedwojennej — p. Bazewicz z chwilą przystrzyżenia swych sławnych wąsów zaprzestał noszenia swej tak popularnej mikołajewskiej «szuby».

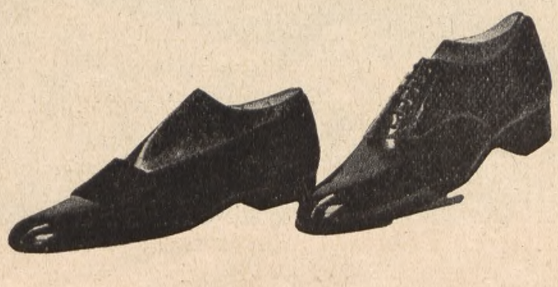


Dwurzędne palto z pluszowym kołnierzem koloru czarnego lub marengo jest obecnie okryciem zupełnie etykietalnem dla stroju wieczorowego.

Po skończonym karnawale rozpoczną się nowe troski wytwornego pana—na okres przedwiośnia należy szykować nowe garnitury marynarkowe i nowe płaszcze. Bielizna kolorowa również w przeciągu sezonu uległa znacznym zmianom.

Te kłopoty postaramy się szczegółowo rozważyć w następnym numerze.









DR. STANISŁAW FACHER

POLSKIE TERENY NARCIARSKIE

Istnieją w dawnych kronikach polskich i starych dziełach podróżniczych z XVI jeszcze wieku pochodzące, obszerne wspomnienia i zapiski o nartach na ziemiach polskich, o owym dziwnym sprzęcie i dziwniejszem jeszcze za jego pomocą biegu. Znaleziono dawne ryciny i opisy, oraz doszukano się wiadomości o używaniu nart jako przyrządu wojskowego i łowieckiego w dawnych czasach na północnych i wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

Polski wyraz »narta«, tak odmienny od wszystkich określeń tego sprzętu, używanych przez narody Europy, u których najczęściej powtarza się słowo »ski« — znaleziono niejednokrotnie w starych źródłach historycznych i to nawet we formie urobionej na łacinę.

Niewątpliwie pod względem pomników tradycji tego sportu ma narciarstwo polskie bodaj więcej do wykazania, niż poza ludami północy, którykolwiek inny naród Europy.

Narciarstwo w pojęciu nowoczesnego sportu, rozpoczęło się w Polsce stosunkowo wcześnie, czego pewnym dowodem jest fakt, że w literaturze polskiej pojawiła się druga z kolei na świecie książka o narciarstwie.



Bobsleigh



Nowoczesne narciarstwo rozwijało się u nas początkowo głównie w kierunku turystycznym. Znalazło ono znakomite podstawy do rozwoju, gdyż sprzyjały mu przedewszystkiem pierwszorzędne warunki terenowe, i doskonały stan zaśnieżenia, właściwy polskim górom zimową porą. Ogólną charakterystyką polskich gór, o ile chodzi o sport zimowy ująć można określenie »narciarskie góry«.

Na całym południu Rzeczypospolitej Polskiej, na przestrzeni 1000 kilometrów, rozciąga się wspaniały łańcuch Karpat, przedstawiający niesłychane bogactwo terenów narciarskich o wielkiej skali rozmaitości.

Warunki śnieżne w Karpatach są istotnie bardzo dobre. Pierwszy »śnieg narciarski« kładzie się na górach już w listopadzie i zalega góry grubym pokładem do końca kwietnia.

Pełny sezon narciarski trwa więc 5 do 6 miesięcy, a nierzadko zdarza się, że nawet w miesiącach letnich odbyć można w polskich górach wyprawę narciarską i to w zupełnie zimowych warunkach. Niezwykle wiele uroku dodaje wędrówkom narciarskim w Karpatach słynna pogoda i wspaniała izolacja przy równomiernej mroźnej temperaturze.

Główną podstawą dostępu do polskich terenów narciarskich jest główna linja kolejowa Kraków — Lwów. Od linji



Polarny autobus

tej na południe odchodzi cały szereg połączeń kolejowych do wszystkich ważniejszych centrów narciarskich tej połaci kraju.

Centra te, w najogólniejszym oczywiście zarysie dadzą się scharakteryzować w następujący sposób:

Na Zachodzie: Cieszyn, Bielsko, Żywiec, Rabka i Kraków otoczone są wspaniałymi terenami części Beskidu Zachodniego. Z terenów tych na specjalne zwrócenie uwagi zasługują wielkie narciarskie masywy: Babiej Góry, Pilska i Baraniej Góry, które sięgają prawie 1700 mtr. n. p. m. przedstawiają prawdziwe eldorado narciarskie, bogate zarówno w niezrównane efekty pejzażowe, jak i wielką rozmaitość szlaków, pomiędzy którymi nie brak zjazdów 20-kilometrów długich. Obok tych trzech głównych niejako szczytów Beskidu Zachodnigo, godny zwiedzenia jest niewątpliwie każdy z kilkuset innych pomniejszych okolicznych wierchów.

Warunki dostępności tych 5-ciu głównych centrów narciarskich Beskidu są dobre, wszędzie są wygodne połączenia kolejowe, schroniska, nie brak też przewodników i map narciarskich, a licznie rozsiadłe towarzystwa narciarskie rozwijają żywą działalność w kierunku krzewienia turystyki narciarskiej.

Na południe od powyżej opisanego obszaru, wznosi się w odosobnieniu orle gniazdo Tatr, pełne niewypowiedzianego uroku i potęgi przepastnych, skalistych turni. W Tatrach właśnie osięga olbrzymi łańcuch Karpacki swe najwyższe wzniesienia (2663 m. n. p. m.), a zarazem najwyższy stopień piękna krajobrazu, nieustępującego w niczem najbardziej znanym ze swego uroku zakątkom wysokogórskim na świecie.

U północnych stóp Tatr, na wysokości 837 mtr. n. p. m. leży Zakopane, największa polska stacja klimatyczna, a zarazem najpewniejsze centrum sportowe polskiego narciarstwa.

Jako teren narciarski przedstawiają Tatry najkompletniejsze bogactwo, gdyż narciarz wybierać tu może dowoli, od łatwych podgórskich wycieczek, do najtrudniejszych wypraw w stylu alpinistycznym. Warunki te, a zarazem doskonałe udostępnienie gór przez liczne schroniska, sprawiają, że Tatry są stale najciekawszym terenem narciarskim w Polsce, a Zakopane ożywione w porze zimowej, a to tak przez ruch turystyczno-narciarski, jak też i przez zawody sportowe, zbierające nieraz po kilkadziesiąt tysięcy widzów u stóp jednej z największych skoczni w Europie.

Dalej ku wschodowi, poprzez pierwszorzędną pod względem narciarskim grupę Gorców (dochodzą 1300 m.) (punkt wyjścia Nowy Targ), przez przepiękne, słynne w świecie ze swego przełomu rzeki Dunajca — Pieniny (Punkt wyjścia Szczawnica) rozciąga się obszar t. zw. Beskidu Sądeckiego, z takimi centrami jak Nowy Sącz i Krynica. Zwłaszcza Krynica, jedno z największych w Polsce uzdrowisk, znana ze siły swych wód leczniczych urasta obecnie do rozmiarów pierwszorzędnej stacji narciarskiej.

Najpiękniejsze tereny narciarskie rdzennych Karpat leżą na wschodzie. Olbrzymie, niezalesione grzbiety ciągną się dziesiątkami kilometrów przedstawiając z któregokolwiek szczytu widok istnego morza wierchów, niekończącego się na granicach horyzontu.

Głównemi punktami wyjść dla tych terenów jest Sławsko i Worochta a podstawami działalności Lwów i Stanisławów.

W ramach krótkiego artykułu trudno jest przedstawić całe bogactwo i piękno polskich terenów narciarskich. Wszak niema prawie miejsca na wspomnienie, że poza istotną bazą narciarską, jaką jest 1000-kilometr. łańcuch Karpat, rozwija się ten piękny sport na całym terenie Polski, zarówno w pięknych górach Wileńszczyzny jak i na Wschodnich Kresach.

Żywiołowo rozwijający się ruch narciarski, który objął już całą młodzież, a obecnie dociera już do wsi zapadłych i miasteczek, jest najoczywistszym dowodem, że narciarstwo polskie posiada najistotniejsze warunki, jakiemi przecież dla narciarstwa są niewątpliwie tereny i dobre warunki śnieżne.



Klasyczny skok *(Z fot. dostarcz. przez firmę K. Borkowski)*

JULJAN EJSMOND

DZIECKO

I

Wśród wszystkich smutków świata,
wśród wszystkich radości ziemi
jedna jest róża bez cierni
najcudniejsza pomiędzy cudnemi...

Jeden jest uśmiech bez cienia
i jedna jest słodycz bez jadu –
Jeden jest owoc radości
z ziemskiego rajskiego sadu...

Jedno jest słońce wśród mroków,
co na nas czyhają zdradziecko...
Ten uśmiech, ten cud, to słońce,
ta radość, ta słodycz – to dziecko!



Aneta

Fot. Dorys

II

Ziemia by była piekłem,
przepełnionem wieczystą żałobą, –
gdyby jej swoim uśmiechem
w raj nie zmieniło bobo!

Słońce – wesele nieba –
byłoby ciemniejsze od mroku, –
gdyby nie światłość co błyszczy
w ślepeczkach tego uroku...

A wszystkie głosy świata
brzmiałyby jak głos przekleństwa, –
gdyby jednego głosiku
zabrakło: szczebiotu maleństwa...



Juleczek i Stasiek Ejsmondowie (synowie poety).

WELL

KOSTJUMY SPORTOWE W ZIMIE



Kiedy nareszcie nadejdą oczekiwane z utęsknieniem, a tak niestety krótkotrwałe mrozy; kiedy nareszcie można pomyśleć o sportach zimowych — powstaje zagadnienie, o wiele aktualniejsze niż hamletyczne «być albo nie być», pytanie: «suknia czy spodenki». Za sukienką przemawiają przedewszystkiem względy przyzwoitości, o ile w roku 1929 podobne względy jeszcze można mieć na względzie.

Poza względami przyzwoitościowemi kryją się z właściwą sobie hypokryzją względy inne, natury bardzo delikatnej: oto sukienka maskuje pewne niedokładności budowy, którychby się wołało nie ujawniać z powodów raczej estetycznych niż moralnych. A spodenki, bezczelne, szczere spodenki posuwają czasem swą otwartość aż do cynizmu, demaskując to wszystko co pragnęłybyśmy zachować w najściślejszej tajemnicy. Niedyskretne spodenki stanowią zato rękojmię większego bezpieczeństwa, nie grożąc jak spódniczka zahaczeniem o pień lub o gałąź, przy zjeżdżaniu z góry.

Ostatecznie można ten węzeł gordyjski przeciąć dobrą radą, aby na sporty zimowe do Zakopanego jeździły tylko panie nieskazitelnie zbudowane, bo te nie potrzebują się niczego wstydzić i mogą się nie obawiać najzjadliwszych krytyk. Zdaje się cennej tej rady udzielił już paniom w swoim czasie Kornel Makuszyński, lecz powtórzenie mądrej maksymy nigdy nie zawadzi. Właściwie to spodenki stanowią niezbędne atrybucje sportów poważnych, trochę niebezpiecznych jak narty i bobsleigh, gdzie wchodzą w grę góry i obawa zahaczenia się w pędzie.

Na zwykłą ślizgawkę wystarczy zwykła spódniczka, oczywiście suto fałdowana, nie krępująca ruchów. Do niej żakiet z lekkiego futerka o krótkim włosie, skórzana kurteczka, wciągany przez głowę pull over z grubego, prążkowanego trykotu wełnianego. Na głowę miękka czapeczka trykotowa, beret basque lub maleńki filcowy kapelusik o charakterze sportowym. Obuwie na niskim obcasie, ciepłe pończochy z wzorzystej wełny lub sukienne gietry zapinane systemem eclair.

Jednak i na ślizgawce należy mieć pod spodniczką ciemne spodenki w tym samym co spodniczka kolorze. Na tak śliskim jak lód terenie o upadek nie trudno — mniejsza o potłuczenie, ale gdyby tak wszyscy się dowiedzieli, że Pani nosi trykoty z jaskrawego fil d'ecosse'u, byłaby to hańba nie do przeżycia. Jazda saneczkami z niewielkich wysokości nie wymaga ani specjalnych umiejętności ani stroju. Lepiej jednak nie mieć ani na ubraniu ani na kapeluszu ostrych, twardych klamer ani agrafek, które mogłyby, przy lekkiem nawet, zderzeniu pokaleczyć twarze i ręce towarzyszy sportu.





Do niedawna uważano wełniany trykot za najlepszy materjał na kostjumy do sportów zimowych. Dalsze wycieczki narciarskie wykazały jego niepraktyczność. Szron i śnieg osiada na włosach puszystego trykotu zamieniając stopniowo narciarza w bryłę śniegu i lodu. Z czasem pod wpływem wewnętrznego ciepła, skorupa ta zaczyna topnieć i wilgoć przesiąka przez porowatą tkaninę trykotową.

Gotowe zaziębienie, zamiast wesołych wakacyj zimowych, przymusowy wypoczynek w łóżku. Obecnie na ubiory dla narciarzy płci obojga używa się sukno norweskie, impregnowana gabardina i flanela angielska, bardzo gładka i ścisła. Robi się z niej koszulę i bluzy, zapięte pod szyję na wzór rosyjskiej rubaszki. Panie mniej zahartowane noszą pod tą bluzą bieliznę z cienkiego, wełnianego trykotu. Spodenki z impregnowanej wełny, lub norweskiego sukna, powinny ciasno oblegać kostkę, tak aby śnieg nie mógł się dostać między tkaniny a gruby bucik. Aby jeszcze uszczelnić to połączenie wydobywa się na wierzch mankiet skarpetki i wywraca, tak aby tworzył dookoła kostki grubą, ciepłą harmonijkę.



Kurtki robi się z tego samego co spodnie materjału. Czasem podbija się je futerkiem. Zakopiański serdaczek może z powodzeniem zastąpić kurtkę. Rękawiczki powinny być ciepłe i mieć wysoki mankiet zachodzący na rękaw. Inaczej grozi odmrożenie, któreby bardzo zeszpeciło rączkę i to na długo. Skóra znajduje częste zastosowanie przy strojach narciarskich, jako odrobienie.

Czapeczki obcisłe, zakrywające część policzka i uszy, bywają nieraz zaopatrzone w daszki, chroniące wzrok przed rażącym blaskiem słońca odbitego w śnieżnej przestrzeni. Niektóre panie używają nawet wielkich, ciemnych okularów, uważając nie bez słuszności, że lepiej chwilowo się nieco zeszpecić, lecz za to nie mieć wieczorem mrugających, zaczerwienionych wiatrem i pędem powiek. Zresztą zbytnia zalotność nie jest w charakterze stroju sportowego i zatraca jego właściwy sznyt: le genre trés sport.

Wycieczka na nartach i...



wycieczka z nartami

Fot. Atlantic

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

PUŁKOWNIK ŁOTYSZYN

Scena z aktu II sztuki Adama Grzymały-Siedleckiego p. t. «Włamanie» granej w teatrze Polskim

ŁOTYSZYN *(wchodzi wesoły, dobrochętny; znać, że świeżo wypiwszy — z piosenką epoki Loubet'a, repertuaru jego młodych lat)* Przyzywali — a? *(rozejrzał się: napół-nieprzytomna Karolina, nienawistnie patrzący dyrektor)* Czto zdieś? Charlotte!

KAROLINA Papieńka, Henryk wie już o wszystkiem.

ŁOTYSZYN *(zwolna, z lękiem przenosi wzrok na dyrektora. W jednej sekundzie z hulaki, z grandseigneura — brodiaga)* Kaby ja był już wczoraj wyjechał!

KAROLINA Dla mnie całe szczęście, żeś tu właśnie obecny.

ŁOTYSZYN *(przypływ optymizmu)* Lepiej, doczka, że już wiadomo: kłamstwa w torbie za sobą ciągnąć nie przyjdzie się już. *(Do dyrektora)* Ot my z Charlottą oboje już w pełnej prawdzie.

DYREKTOR *(miażdżąco)* Podrobione dokumenty...

ŁOTYSZYN Podrobione, ale jak podrobione? Prosto autienticzne.

DYREKTOR *(machnął ręką: z tym się nie dogadać).*

KAROLINA Daj spokój, papieńka, przecież nie możemy przeczyć.

DYREKTOR Przypuszczam!

KAROLINA Opowiedz Henrykowi, jakeśmy się poznali, w jakich okolicznościach... Jakeś mi potem te papiery — wszystko.

ŁOTYSZYN I powiem. Coby on o tobie nic złego nie myślał. Est-ce-que vous permettez?

DYREKTOR Proszę.

ŁOTYSZYN Tak ot... Ile to lat temu, Charlotte?

KAROLINA Czternaście.

ŁOTYSZYN Czternaście lat nazad... Ja był już w odstawce. Popał ja w Aschabad. Niemłody ja już był, 58 lat mnie było, ale durak, swołocz, lekkomyślennyj. Zasiadł ja w klubie do baccarat. Proigrał. Tout mon argent. Całe życie karta mi nie szła. Z pułku też w odstawkę za dołgi — z kart. Tak i tam w Aschabadzie: tout mon argent i 1100 rubli na parole d'honneur. Więcej zawierzyć mnie nie chcieli. W banku było 830 rubli. — „Stawiam moją emeryturę!" — Dwieście ośm rubli i 46 kopiejek jeżemiesiaczno. Bank trzymał kupiec Jefresimow. Ijuda, prochwost okajannyj. Obejrzał mię, oszczupał, rękę zgiąć kazał: czy ja jeszcze 830 rubli wart. — „Ładno!" — powiada — „ale skrypt,'. Podpisał ja skrypt, cisnął ja go w pulę — znak krzyża świętego nad pulą — i dawaj tianut'. Jak dziś pomnę: w ręku ja mam czwórkę karo, dwójkę — —

DYREKTOR Do rzeczy! do rzeczy!

ŁOTYSZYN Jefresimow oczkiem mocniejszy, canaille! Został ja niszczyj, nędzarz, un mendiant. Na parole d'honneur 1100 i do końca grzesznych dni moich — bez grosza. Ukłonił ja się Jefresimowowi, sprawdził, co rewolwer w kieszeni jest: — za miasto!

Stanął ja za miastem u płota jakiegoś, wypił na kuraż buteleczkę koniaku — i zapłakał ja.

Nie nad śmiercią ja płakał: — nad życiem. Że czepucha ja był, nie człowiek: pjanica, kartiożnik.

Togda to — w tu imienno minutu — turkot na drodze, jamszczik — —

KAROLINA — — wracałam do domu, do hotelu z zamiejskiej restauracji. Patrzę: pod parkanem stoi jakiś siwy człowiek i płacze głośno. Kazałam oczywiście przystanąć, podeszłam doń —

ŁOTYSZYN — — ani przedtem mnie znała, ani widziała, a wywiedziała się co i jak. Rewolwer odebrała — won za parkan. Zabrała mnie ze sobą, wykupiła mnie z parole d'honneur, wyrobiła zajęcie w anglijskoj kompanji, coby ja miał z czego żyć i z czego spłacać jej dług. Jeszcze ja jej i winien to i jestem. Mam tu zapisane, ile — —

DYREKTOR Potem, potem! Sprawa dokumentów.

ŁOTYSZYN To już pustiaki.

DYREKTOR Tak pan sądzi!

ŁOTYSZYN Raz jeden wyznała mi — — *(urwał, spojrzał pytająco na Karolinę).*

KAROLINA I to już Henryk wie — możesz mówić.

ŁOTYSZYN Wyznała mi, co ona z prostego naroda. Co matka jej — czernoraboczaja. Charlotte! ty może myślisz, że ja nie wiem, dlaczego ty mi wyznała? *(do dyrektora)* Z miłosierdzia nade mną swołoczą. Czuła ty, że mnie nie lekko na duszy, co ja od ciebie pieniądze, jak żebrak-stradalec...

DYREKTOR Czy się dowiem nareszcie?

ŁOTYSZYN Tak ja umyślił odwdzięczyć jej się, dworiańskie nazwisko jej dać, raz ona sercem dworianka. Niech ona będzie moją córką, powiedział ja sobie.

W kryminale w Noworosyjsku u więźni takie laboratorjum było: dokumienty oni fabrykowali. Kryminał dykasterja rządowa — tak oni spokojnie, bezpiecznie. Dokumienty z pieczęciami, podpisami, co kto chciał. Prosto artisty! Z lubwi do dzieła pracowali: rubli dziesięć za sztukę, nie więcej brali. Tak ja tam i zamówił dla niej pasport i wsio. Na imieniny ja jej to przyniósł z życzeniami od duszi.

No i raz ona miała bumagi, co ona Łotyszynówna to ona i Łotyszynówna.

DYREKTOR Ileżeś pan miał lat, gdyś pan to wszystko majstrował?

ŁOTYSZYN Pięćdziesiąt osiem mnie już było.

DYREKTOR Zastanów-że się więc pan: byłeś pan w wieku, kiedy ustawy pozwalały panu najzwyczajniejszym sposobem adoptować ją — legalnie, bez podrabiania papierów. Dlaczegoś pan tego nie zrobił? Dlaczego koniecznie musiałeś się pan uciec do oszustwa?

ŁOTYSZYN Ja ją tak kochał, że chciał ja, coby ona była moją rodzoną córką, nie tam jakąś adoptirowaną.

DYREKTOR *(pod dłoń nawinęło mu się coś ciężkiego— chwila jeszcze i ciśnie tem w Łotyszyna — opamiętał się).*

ŁOTYSZYN *(do Karoliny)* Człowiek zachodni takich rzeczy nie pojmie.

DYREKTOR I co teraz? *(przeszedł przez pokój — opanowany, ale znać, że rozpacz i wściekłość nim miotają).*

ŁOTYSZYN Idę — — — Tylko...

DYREKTOR Co?

ŁOTYSZYN Raz już w pełnej ja prawdzie, to ja — — to ja...

KAROLINA Co, papieńka?

ŁOTYSZYN Ja muszę do dna duszę oczyścić... U mnie na duszy grzech... Nawet ty, Charlotte, o tem nie wiesz *(ciężko mu mówić dalej).*

DYREKTOR *(przerażony)* Więc jeszcze coś...

ŁOTYSZYN Da...

KAROLINA *(tkliwie)* Powiedz...

ŁOTYSZYN Ciężko i stydno...

KAROLINA No!... *(zachęca go uśmiechem — jak matka dziecko).*

ŁOTYSZYN *(żegna się trzykrotnie, jak przed spowiedzią)* Charlotte, jakim ja pułkiem dowodził?

KAROLINA No byłeś dowódcą pułku kawaliergardów...

ŁOTYSZYN Tylko ja tak rozpowiadał. Charlotte — ja nigdy w kawaliergardach nie był. W zwyczajnym piechotnym pułku komandir bataljona. Podpołkownik... podpołkownik.

DYREKTOR *(w przeczuciu, że to dopiero wstęp do jakiejś niebezpiecznej rewelacji)* No i — ??

ŁOTYSZYN No to, że ja nie kawalerist. Więcej nic.

DYREKTOR Istotnie! Najważniejsze w tem wszystkiem.

ŁOTYSZYN Rozgrzeszcie wy starca — i nikomu o tem. No i wszystko już jasne, w porządku. Najlepiej zawsze prawdę, dzieci moje. Pamiętajcie *(wychodzi).*

«WŁAMANIE»,

sztuka w 3-ch aktach Adama Grzymały-Siedleckiego w teatrze Polskim. Reżyserował S. Stanisławski, dekoracje J. Śliwińskiego



Prawdziwą sensację w świecie nietylko teatralnym lecz i literackim wzbudziła nowa sztuka Adama Grzymały-Siedleckiego. Sztukę bowiem o głębokim podkładzie psychologicznym, ubrał znakomity autor w formę zgoła sensacyjną. Skrępowany ramami



Fot. St. Brzozowski

przedstawienia teatralnego, wielką część akcji musiał zachować w formie opowiadania. Zarzut kinematograficzności, uczyniony sztuce przez część krytyki, spowoduje niewątpliwie skwapliwe jej zrealizowanie przez którąkolwiek z filmotwórni. Niemniej przeto walory sceniczne «Włamania» są niezaprzeczalne, czego najlepszym dowodem jest wielka frekwencja publiczności w teatrze.

Sztuka posiada kilka postaci, których obecność na scenie nie jest dostatecznie uzasadniona. Natomiast inne role dają aktorom wprost wyjątkowo korzystne pole do popisu. P. Przybyłko-Potocka, z jej tylko właściwym kunsztem odtworzyła odpowiedzialną rolę Karoliny. Junosza-Stępowski, jako dymisjonowany pułkownik Łotyszyn, wydobył z roli maximum komizmu, nie pomijając przytem mocnych akcentów melodramatycznych. Bardzo sympatyczne cechy charakteru wyjawił wykolejeniec — włamywacz w interpretacji Leszczyńskiego.



Dzięki koncertowej grze tych aktorów po mistrowsku napisane djalogi zachowały na scenie pełną swoją wartość, zaś momenty sensacyjne sztuki ustąpiły na drugi plan przed poruszanemi w sztuce zagadnieniami psychologicznemi.

Stanisławski wyreżyserował sztukę bardzo starannie, nadał jej właściwe tempo, nie potrafił jedynie uporać się z częścią aktorów. P. Maliszewski był typowym okazem «papierowego kochanka», zaś p. Buszyński niezawsze umiał odróżnić melodramat od groteski.

MARJAN HEMAR

PROJEKT HEMARA

Rozmyślam oddawna nad pewnym projektem literacko-automobilowym — t. zn. pozostającym w ścisłym związku i z literaturą i z automobilizmem, słowem — nie wiem dobrze, jakby to wszystko krótko i prosto wyrazić...

Chodzi o to, ażeby w bardzo prosty sposób rozszerzyć z jednej strony możliwości językowe, poetyckie możliwości naszej mowy, a z drugiej strony znowuż możliwości automobilistyczne — handlowe i popularyzatorskie i wogóle...

Możnaby to b. łatwo uzyskać, przez sprowadzenie obu problemów w styczność na terenie, że się tak wyrażę — serca.

Może niekażdy automobilista wie, co to jest serce? Oczywiście, skąd ma wiedzieć? U inżyniera Froma nie uczą. Z automobilistek to żadna nie wie. O tem przekonałem się osobiście... żadna...

Serce jest to — oczywiście mówiąc krótko i tylko dla orjentacji — otóż wyobraźmy sobie tak, jak np. w samochodzie jest silnik, tylko na niższych turach, około 80 na minutę — właśnie coś takiego jest serce, tylko że w sercu ponadto jeszcze i miłość... oczywiście czasem...

Miłość — też niekażdy automobilista to wie. Ale przecież zdefinjować da się wszystko, przy dobrej woli czytelników — otóż wyobraźmy sobie duży ruch samochodowy na ulicy, na której ruch nie jest uregulowany. Konsekwencje — mniej więcej to jest właśnie miłość.

Być może, że się niejasno wyrażam, ale ostatecznie chodzi mi o coś innego. Otóż sprawy związane z sercem, sprawy sercowe, sprawy miłosne przejawiają się zazwyczaj w formach bardzo trudnych do ujęcia, bardzo skomplikowanych, a przytem bardzo subtelnych. Niewiadomo, prawda, kto jechał właściwą stroną, kto kogo wyminął, kto zakręcał, kto zapóźno dał znak, kto kogo zaczepił... to są właśnie mniej więcej te sercowe sprawy. W każdym wypadku inne, odrębne, nieuchwytne — wymykają się z pod nomenklatury potocznych przeżyć, szukają dla siebie nowych określeń, równie delikatnych, jak one same, wymagają terminologji innej, subtelniejszej, terminologji poetycznej, terminologji metafory...

O to mi właśnie chodziło. W pewnych wypadkach słowo nietylko że nie wystarcza, ale i przeszkadza. Słowo, które się rzekło, to już jest pewne zadecydowanie, pewne określenie rzeczy, pewne zobowiązanie — z wyjątkiem słowa honoru, ale to jest właśnie wyjątek i czysta formalność.

Zaraz dam przykład — powiedzmy jest jakiś dżentelmen i jakaś dama. Oboje czują w sercach kiełkujące uczucie miłości. Czy on może powiedzieć damie: „Przyjdź pani jutro do mnie", albo coś w tym sensie? Nie może. To nie wypada. Ale gdyby nawet wypadało, to i takby nie powiedział, bo wiedziałby przecież zgóry, że damie nie wypada odpowiedzieć „owszem" — nawet gdyby chciała przyjść. Dama na takie propozycje nie może odpowiedzieć ani „tak", ani „dobrze", ani nawet „może..." — poprostu musi powiedzieć: „Jak pan śmie?! Idjota!! Przenigdy!!" Oboje cierpią, chociaż mogliby wcale nie cierpieć, ale wprost przeciwnie. W czem leży błąd ich stosunku? W braku odpowiedniej formy porozumienia się.

Chodzi o to, ażeby w takich wypadkach unikać trywjalnych słów — a w wypadkach takich każde bez wyjątku słowo musi zabrzmieć trywjalnie i pospolicie. Chodzi o to, ażeby znaleźć jakiś znak, jakiś niedomówiony znak, ażeby się poprostu umówić: „Albo nie chcesz, to możesz udać, żeś nie zauważyła, albo chcesz, to też udawaj, żeś nie zauważyła, ale daj mi znak, że udajesz i potem już będziemy oboje udawać, że to los tak chciał...

Chodzi właśnie o to, aby samochód stał się znakiem z takiej rozmowy, literą z sercowego abecadła.

Kiedy miałem siedem lat, pisywałem listy miłosne do pewnej damy, która była niepiśmienna. Dama ta służyła u nas za kucharkę. Jej zawdzięczam odporność na przesolone potrawy, oraz romantyczny i niepozbawiony wdzięku styl. Ona też wtajemniczyła mnie w sekreta rozmowy kwiatowej, którą studjowaliśmy razem z dodatku do „Sennika egipskiego". Pamiętam z tego czasu, że kiedy się posyła czerwone róże, to znaczy miłość, a białe róże — znaczy platonicznie, a żółte — znaczy zazdrość. Posłać jaskry, znaczy: gardzę tobą, a tulipany, znaczy: jutro mam wychodne. I tak dalej.

Otóż mnie chodzi o to, aby zakochani z wyższych sfer rozmawiali z sobą samochodami, co jest znacznie przyjemniejsze, z natury rzeczy szlachetne i pożyteczne, ponieważ każda miłość kiedyś się kończy, ale przynajmniej pozostaje po niej samochód, a nie wiecheć uschłego zielska. Wyobrażam to sobie tak:

Np. dżentelmen posyła damie Cytrynkę — to znaczy „Przyjdź do mnie na herbatę..."

Dama posyła w odpowiedzi Stetysza. To znaczy „Czekaj do maja..."

Na to on posyła jej Bugattiego. To znaczy „Zabiję się!"

Na to ona posyła jemu Lancię. To znaczy „Nie strzelaj!"

Na to on posyła jej Cadillaca. To znaczy „Pękło mi serce".

Wtedy ona przyjeżdża do niego i zapewnia go, że to nieprawda. W każdym razie jedna rozmowa pomyślnym skutkiem zakończona.

Inna rozmowa wyglądać może np. tak:

Dżentelmen posyła damie Austro-Daimlera. To znaczy „Stwórzmy ognisko domowe".

Dama posyła mu Morrisa. To znaczy „Nie".

On posyła jej Mercedesa. To znaczy „Cóż mi zarzucasz?..."

Na to ona posyła mu Chryslera. To znaczy „Mówi o tobie cały półświatek".

Na to on posyła jej Mathisa. To znaczy „Za pół roku przestanę".

Na to ona odsyła mu Mathisa i to wtedy znaczy „Proszę się liczyć ze słowami!..."

Zdarzyć się może np. i taka rozmówka:

Dżentelmen otrzymuje od damy Chevroleta. To znaczy „Weź mnie, jak sam chcesz!"

On wykrętnie posyła jej Alfę-Romeo. To znaczy „Zanadto jesteś mi droga..."

Ona posyła mu Fiata 501. To znaczy „Przypomnij sobie, jak to było przed laty..."

On posyła jej brutalnie Steyra. To znaczy „Już mnie nie ciągniesz..."

Ona posyła mu Lincolna. To znaczy „Nie jesteś wart!"

On posyła jej Hanomaga. To znaczy „To są śmieszne rzeczy!"

Potem mogą już tylko zerwać z sobą na zawsze.

Weźmy inną znowuż sytuację:

Dżentelmen posyła damie Hispano-Suizę. To znaczy „Kocham cię".

Dama posyła mu Renówkę. To znaczy „Lecisz na forsę..."

Na to on posyła ze zdumieniem Fiata 520. To znaczy „Przecież twój stary dużo przyrzekał..."

Na to ona posyła mu Tatrę. To znaczy „Dla dwojga nie starczy!"

Na to on posyła jej Lassalla. To znaczy „To co innego..."

Na to ona posyła mu Couttin-Desgoutes'a. To znaczy „Nie znam cię".

Na to on posyła jej Skodę. To znaczy „Rzucam cię. Proszę zpowrotem o Hispano-Suizę".

Na to ojciec damy posyła mu Delahaja.

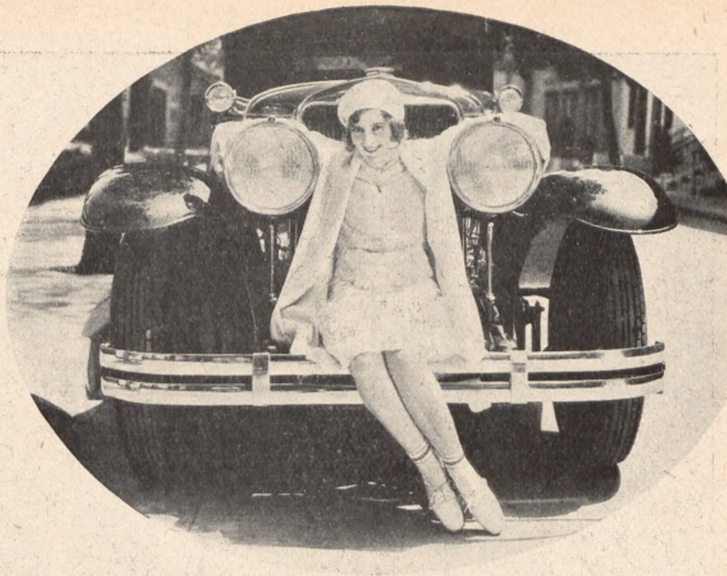
Na to dżentelmen posyła mu Forda. To znaczy „Pan mnie też".

Narazie to jest tylko projekt. Ale gdyby to tylko porządnie opracować, ułożyć w system, w regulamin, w prawidła gramatyczne i syntaktyczne i wogóle...

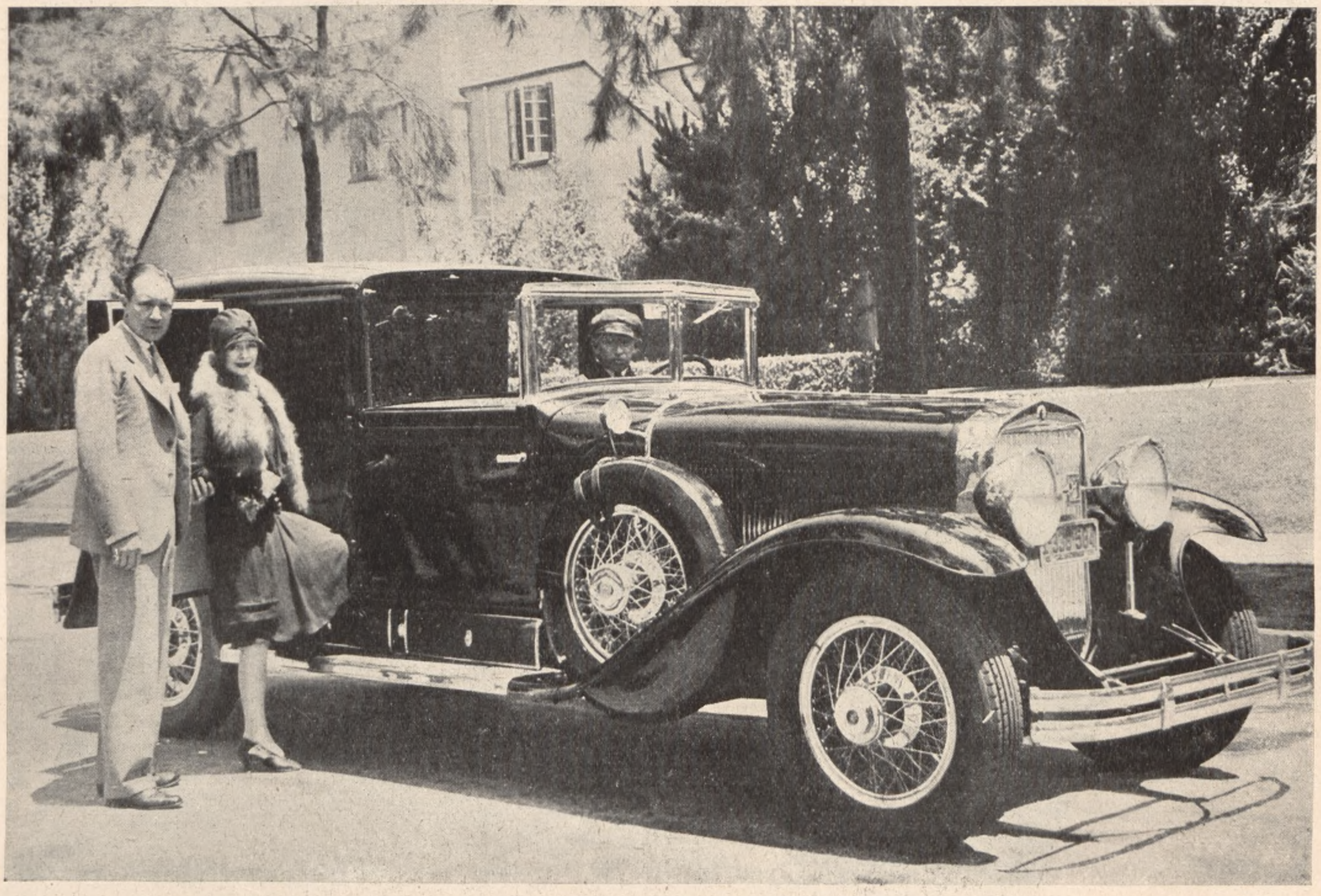
Oczywiście musiałaby to zrobić Akademja Umiejętności razem z Automobilklubem Polski... Myślę, że ten projekt otwiera nadzwyczajne perspektywy.

Np. — każdy raid będzie jednocześnie konkursem dramatycznym.

Salon literacki — będzie salonem automobilowym. Konwersacja samochodu i konwersacja języka sprowadzą



Amerykańska gwiazda filmowa Doris Hill i jej piękny Cadillac



Amerykański aktor filmowy Monte Blue nabył piękny kabriolet Cadillac. Naszych aktorów filmowych dotychczas nie stać nawet na Chevroleta



Świetna rekordzistka p. Halina Konopacka poślubiła posła Rzplitej w Budapeszcie płk. J. Matuszewskiego. Przed wyjazdem z Polski p. Konopacka zwiedziła warszawską montownię samochodów General Motors

nowy okres kultury języka i samochodu. Widzę już naukę w szkole przyszłości, pod kierownictwem inż. Froma i prof. Brücknera...

Kto wie, czy nie warto się nad tem zastanowić? Oczekuję w tej kwestji licznej korespondencji ze strony kół zainteresowanych — jeżeli wolno prosić, to nie listownie, ale już w tej nowej, projektowanej przeze mnie formie.

Zgłoszenia przyjmuje Garaż Redakcji

dla

Marjana Hemara.



„Tacjann-girls" z powodzeniem mogłyby rywalizować z zespotem Lawrence-Tiller lub Alfred Jackson



Fot. St. Brzozowski

Hanka Ordonówna w doskonałej rewji M. S. Z. czyli Pamiętaj o mnie" w teatrze Qui-pro-Quo

JERZY RAWICZ



KSIĘŻNICZKA KAPRYS

— A więc jednak — nie przyszła!...

Po skonstatowaniu prawdy tak oczywistej (skoro pociąg już ruszył), szarpnął rzemień, aż szyba okienna spadła z łoskotem, i patrzył na oddalający się zwolna dworzec. Wdole ciągnęła się ulica, nad której czarnym brzegiem zawisły latarnie, jak naprężony sznur pereł. Mżył drobniutki deszczyk, wiatr targał włosy, koła dudniły uprzykrzony motyw dobrze znanej piosenki: „Zatańczmy tango". Znikła w oddali Warszawa, znikało miasto „jego dziewczynki".

— „Moja dziewczynka"! — pomyślał i mimowoli uśmiechnął się ironicznie — za żadną cenę nie mógłbym sobie wyobrazić, gdzie ona jest w tej chwili. W domu? w kawiarni? w teatrze? u którejś z niezliczonych przyjaciółek?

Napewno wiedział jedno: że miała oczy nieporównanego koloru morskiej toni, wysmukłe sarnie nóżki i olśniewające zęby. Zaczęło się — poprostu, po wielkomiejsku. W jakiemś kinie — siedzieli obok siebie, wyszli już razem, potem pili czekoladę w małouczęszczanej kawiarence.

Trzepała coś ze śmiechem o sobie, mówiła, że jest okropnie zajęta, że jest uczenicą szkoły filmowej, i że wybrała sobie już pseudonim, który jej się szalenie, ale to szalenie podoba: Irmela. Niezbyt uważnie słuchał tych wynurzeń, bardziej zajęty myślą wycałowania rozkosznie świeżych usteczek, niż zebrania z nich rewelacyjnych mądrości. Ale wierzył jej słowom, czuł bowiem z niezamąconym niczem objektywizmem, że „ta dziewczyna zrobi karjerę".

Lecz nie przewidział wszakże, że nić jego egzaltacji, zawiązana niefrasobliwie tego wieczora w lekki supełek, przekształci się, wezbrana w poważny, niekiedy bolący nawet węzeł. Nie dawał tego nigdy poznać po sobie. Postanowił nie ustępować ze swego wybitnie męskiego stanowiska: stanowiska konsumenta! Pobawić się tą małą i broń Boże, nie przywiązać do niej. Ale „mała" okazała się sprytna. Nieubłaganie trzeźwa. Bez krzty sentymentalizmu. I nim zdążył zaprotestować, przejęła inicjatywę w swoje śliczne, wypielęgnowane łapki. Jedyne co mu pozostało, to — czekać.

Z początku bawiła go ta inwersja ról. Po dniu, skrupulatnie pokratkowanym i wypełnionym przez zajęcia zawodowe, pozostawał wieczór. Plama, której trzeba było nadać konkretny kształt i mocną zdecydowaną barwę, Najchętniej sięgnąłby po paletę z wiadomych rączek. Ale cóż! „Księżniczka Kaprys" była nieuchwytna jak motyl. Więc trzeba było, rozłożywszy papiery na biurku, symulować przed samym sobą pracę, nerwowo spoglądając co kilka chwil na telefon. Ale telefon milczał. Przez tydzień. Czasem przez dwa tygodnie. A czasem najniespodziewaniej dzwonił w czasie godzin urzędowych, bynajmniej nie zniechęcony szorstkim i opryskliwym tonem odpowiedzi.

Można było przecież samemu odszukać, upomnieć się... Ba! księżniczki albo mieszkają w pałacu, albo... nie chcą podać adresu...

Kaprys był jej wdziękiem, jej czarem. Zawsze pełna polotu, wynajdywała tysiące sposobów, aby nadać trochę fantazji szarej, rozciągniętej po aktach cywilnych aplikanckiej egzystencji Artura. Dzisiejszy telefon z rzuconą znienacka propozycją, której, niestety, niepodobna było podchwycić wskutek naglącej konieczności wyjazdu — skończył się nieprzewidzianą obietnicą:

— A ja cię odprowadzę...

— Nie, maleńka, pociąg rusza o dwunastej. Będziesz sama wracała...

— Skąd wiesz? A może kto litościwy odprowadzi?

Obietnice są tem bardziej niepokojące, im mniej mają szans spełnienia... Nietrudno było przewidzieć, że kaprys, jak bańka mydlana, mógł natychmiast prysnąć. Lecz jeszcze nigdy goryczy zawodu nie osłodziły najbardziej przekonywające argumenty rozsądku. Mimo programowej „spokojnej rezygnacji" Artur z dużem rozdrażnieniem odszedł od okna.

Zmierzając do swego przedziału, mijał korytarz pierwszej klasy. Na zakręcie odrzuciło go wbok, mimowoli przypadł twarzą do drzwi przedziału „dla niepalących". Firanka była odsunięta do połowy. Wewnątrz siedziała jakaś pani. Olbrzymia płachta rozłożonego dziennika zasłaniała twarz samotnej podróżniczki. Rasowe, smukłe nóżki, obciągnięte pończoszką barwy saumon, w filigranowych pantofelkach, założone wysoko jedna na drugą, kołysały się zalotnie, kusząco, w dobrze znany sposób.

Szarpnął drzwi i bez namysłu wpadł do przedziału. Zatrzepotały w przewiewie stronice gazety i wyjrzała z poza nich główka w ramce podróżnego kapelusika. Błysnęły olśniewające (jak reklama jakiegoś Kalodontu) zęby, mignął śród rzęs łobuzerski ognik i w podłużnych paluszkach — między wskazującym a średnim — znalazł się brunatny kartonik.

— Cóż to? kontrola biletów? Ja do Sławska, nieproszony panie kontrolerze...

— Ty?... Do Sławska? Poco?

— Ażeby pobyć tam przez całe dwadzieścia cztery godziny z pewnym niemądrym ktosiem, który dotychczas nie domyślił się przywitać...

Przypadł do jej rąk, osypał dzikiemi pocałunkami, wbrew woli okazując radość na widok okazywanych — jak nigdy dotąd — względów.

— Jak mogłaś?... Dom — szkoła — co twój reżyser powiedziałby na to?

— Powiedziałby, głuptasku, że szkoda każdej chwili i że do zdjęć potrzeba zupełnie innego światła...

I smukła postać, wyswobodzona z uścisku, wspięła się na palce i za pociągnięciem łańcuszka opuściła ciemną umbrelkę na lampę.

— — — — — — — — — — — — — —

W błękitnych kałużach szkliło się przedporanne niebo. Z pod kół trzęsącej bryczki pryskało błoto. W oddali,

w rzeźwej świeżości świtu, we mgle różowych obłoczków wstawało słońce. Dudnił pod kopytami drewniany mostek, kołysały się walizki, śmiesznie podskakiwały na koźle plecy dorożkarza, zderzały się kolana pod skórzanym fartuchem, mokrym jeszcze od nocnego deszczu.

Usteczka „księżniczki", wyjątkowo niepociągnięte kredką, były bledsze i bardziej wyraziste, niż zazwyczaj. Oczy, podkute błękitnawym sińcem — czyste i świeże, mimo niewyspania, inne niż w oślepiającem świetle kawiarnianych żyrandoli. Senna główka raz po raz chyliła się na ramię towarzysza.

W rzeźkim chłodzie poranka, w bliskości „niewykończonej na bóstwo" twarzy, w stuku kół, nawet w grudkach błota z pod szprych, nawet w lakierowanych na niebiesko kałużach — taiło się przeczucie nienazwanego po imieniu szczęścia.

Dzień w Sławsku był — według określenia księżniczki Irmeli — jak najśliczniejszy film. Porównywając osobiste przeżycia ze swoją księgą zła i dobra, z kilometrową taśmą żelatynową, orzekła, że: „zupełnie, jak wschód słońca". Zachwycała się wszystkiem i nic nie raziło ją: nawet trzy odrapane zajazdy, noszące szumne nazwy hoteli, nawet rynek o wyboistym bruku, gdzie pełnił straż samotny kjosk, w którym bez trudu, ale za wysoką cenę, można było dostać najświeższe zeszłotygodniowe dzienniki, i jedyna — pożal się Boże! „Europejska kawiarnia" — wszystko zyskiwało jej pełną entuzjazmu aprobatę. Na widok warszawskiej taksówki rozczuliła się do łez.

Artur, troszkę zawstydzony małomiasteczkowem ubóstwem, poczuwał się poniekąd do odpowiedzialności wobec miłego gościa. Zato stary park, żegnający ostatni parny uśmiech lata, roztoczył przed nimi bynajmniej nie prowincjonalne bogactwo złotych i rudych liści. Chrzęściły pod stopami — przywiędłe, pożółkłe, rdzawe, czerwone, koloru wina, jesienne liście. Wśród nich sypały się gładkie i lepkie, jak daktyle, bronzowe kasztany, wypadłe ze swej ciernistej kołyski.



Jak dzieci, gonili się i wydzierali sobie zdobycz w konkursie kasztanowym. Niebieski beret śmigał żywo między drzewami, a teka, spuchnięta od przeraźliwie ważnych papierów, w haniebnem zaniedbaniu spoczywała na ławce.

— A ten kasztan schowam — na pamiątkę — stwierdziła przyszła gwiazda filmowa, otwierając torebkę.

— Poco ci pamiątki, dziecinko? Przecież się nie rozchodzimy...

— Kto wie?... Och, nie lubię żadnych więzów! — potrząsnęła rezolutnie czupryną. — Cóżbyś zrobił, gdybym nagle odeszła?...

— Bądź spokojna. Nie zatrzymałbym cię żadnem słowem...

Odpowiedź wypadła bardziej twardo i poważnie, niż nastrój wskazywał. Księżniczka wolała nie dosłyszeć. Z bez-

troską pogodą wróciła do egzaminu z botaniki, broniąc do upadłego opinji, że drzewo z rzuconemi nad wodą warkoczami, to napewno brzoza, a nie żadna wierzba, jak utrzymywał Artur. Potem rozmawiali o zielnikach, o szkole, o domu — ciepłem maleńkości, zapachem rumianych policzków, rozrzewniającym zakątkiem dziecięctwa wionęły wspomnienia.

— ...a jak byłam mała, to jeden chłopiec wyciął na liściu, wśród nerwów, moje imię — Marysia...

— Tobie na imię „Marysia"? Pierwszy raz je słyszę.

Milczała chwilę zapłoniona.

— No, idź do swego sądu, panie adwokacie! Gdzie się spotkamy? Kiedy będziesz wolny?

— Bądź o trzeciej w cukierni na rynku. Zamów sobie białą kawę z kożuszkiem i nad tą kawą przekształć się w Penelopę. Przy sposobności dowiesz się tam pewno wszystkich tutejszych nowości: z kim zdradza męża pani aptekarzowa i dlaczego mleko podrożało. A nie kokietuj oficerów garnizonowych, bo to bractwo strasznie łapczywe na takie śliczne dziewczynki...

„Śliczna dziewczynka" wyciągnęła z wdziękiem łapkę do pocałowania i, kołysząc się na smukłych nóżkach, poszła przed siebie. Lśniące maleńkie lakierki brodziły wśród warstwy złocistych szeleszczących liści.

Artur szedł przez chwilę wślad za niebieskim beretem i słyszał słowa śpiewki, nuconej przez zęby (napewno perfidnie obliczonej na słuchanie!):

„Jutro przyjdzie inny... jutro przyjdzie inny..."

— — — — — — — — — — — — — —

„Inny" przyszedł jeszcze wcześniej, niż „jutro".

Gdy Artur wyszedł o trzeciej z sądu i stawił się na umówionem miejscu, ku wielkiemu zdziwieniu nikogo tam nie zastał. Nagle z przeciwnej strony rynku wypadł otwarty samochód, gdzie przy kierownicy u boku nieznanego dżentelmena jaskrawił się dobrze znany błękitny beret...



Artur oniemiał.

Auto z hałasem okrążyło rynek i zatrzymało się na rogu.

— Ach, co za traf! Tylu znajomych z Warszawy! Panowie się nie znają?

Z powodzi słów, rzucanych w pośpiechu, a popartych ostrzegawczem spojrzeniem zielonych ocząt, Artur — ochłonąwszy ze zdumienia — wywnioskował: Marysia spotkała przypadkiem w Sławsku znajomego z Warszawy, „l'homme à l'auto", zdążyła być z nim na dalekim spacerze, przeprowadzić ostrożnie wywiad co do stanu rodzinnego młodego przemysłowca, skokietować go na zabój, naopowiadać mu fantastycznych bredni o konieczności wyjazdu do Sławska celem filmowania (sic!) prowincjonalnego miasteczka i zainscenizować ad hoc przypadkowe spotkanie z Arturem.

Rad nierad musiał przystać na tę narzuconą mu z tupetem rolę. Panowie przywitali się chłodno. Księżniczka Kaprys, rozrzutnie ponosząc koszta rozmowy, wzięła na siebie trud przełamania pierwszych lodów między resztą towarzystwa.

Lody stopniały dopiero przy czarnej kawie, po obiedzie, spożytym w wytwornym pałacyku młodego przemysłowca. Wśród fiołkowych kłębów dymu rozmowa zeszła z tematu zobowiązań prywatno-prawnych, które sucho referował Artur, na tory interesującej wszystkich sztuki kinematograficznej.

— Niech pan się przyjrzy, panie Arturze: nasz gospodarz jest uderzająco podobny do Adolfa Menjou.

Uwaga nie była pozbawiona słuszności. Rasowa śniada twarz z wąsikiem nad kształtnemi ustami, zlekka siwiejące skronie, wrodzona arystokratyczna powściągliwość ruchów, obok niezawodnej siły, wskazywały na istotne podobieństwo do owego aktora. Ale Artur nie chciał przystać, rozdrażniony sztucznością sytuacji, z której wynikało, że musiał maskować swój rzeczywisty stosunek do Marysi i, co gorsza, nie zdradzać się z poczuciem własnego poniżenia.

— Wypijemy więc za zdrowie prawdziwego Adolfa Menjou — rzucił gospodarz charakterystycznym, niskim tonem mężczyzny, który bardzo chce się podobać — a następny toast: za zdrowie przyszłych gwiazd filmowych...

Oczy „przyszłej gwiazdy" błyszczały naprawdę jak gwiazdy. Koniak, kilka „gorzkich z kropelkami", wypitych śmiało, po męsku, przy zakąsce, i podlanych likierem przy kawie, rozpaliły na jej policzkach śliczne wypieki. Usta, znów pociągnięte koralową szminką, nabrały wyrazu tajemniczej sztuczności. Olśniewające zęby w uśmiechu pełnym ożywienia błyskały i świeciły, jak perły.

— Pani jest cudowna...

Głos „Adolfa Menjou" przechodził w namiętny szept. Dłoń jego — niby przypadkiem — spotkała się z dłonią sąsiadki, fotel — niby przypadkiem — znalazł się w odległości zniwelowanej do zera z drugim fotelem (oczywiście, nie z tym, na którym siedział Artur).

— Pani ma bajeczną przyszłość przed sobą... Ale nie tutaj, o, nie! Hollywood, dolary, sława... Chce pani — pojedziemy razem do Paryża! Zaopiekuję się panią, wykieruję na wielką artystkę — cudna, maleńka wróżko uśmiechu...

— No, no, do Paryża daleka droga! Przedewszystkiem muszę wracać do Warszawy.

— Zdecydowane za panią, i to bezapelacyjnie! Jutro rano jedziemy maszyną do Warszawy. A pan?

— A pan?...

Dwa pytania padły jedno za drugiem jak echo. Dwie pary oczu zwróciły się w stronę Artura, który chmurny i posępny tkwił w fotelu, wyrzucony poza krąg intymnej rozmowy: męskie, chłodne, napół dostrzegające z za maski oficjalnej uprzejmości, i drugie, oczy barwy morskiej toni, płochliwe, niepewne i jednocześnie djabelsko przekorne.

Stanowcza chwila nadeszła. Jeżeli jeden mężczyzna w obliczu drugiego sięga po upragnioną kobietę, a w oczach kobiety nie da się odczytać zalęknionego protestu, to gentleman ma tylko jedno wyjście...

Artur wstał, starając się mówić możliwie swobodnie:
— Ja? Muszę dziś jeszcze w nocy wracać do Warszawy. A że właśnie mój pociąg za godzinę odchodzi...
I całując giętką jak panterka dłoń, dorzucił zwolna:
— Życzę szczęśliwej podróży... skoro księżniczka Kaprys tak zdecydowała...

— — — — — — — — — — — — — —

Na niebie tkwiły dalekie chłodne gwiazdy. Z pod kół pryskały grudki błota. Świeciły czarnym lakierem rozlane kałuże. Trzęsąca bryczka z nudnem stękaniem zatrzymała się przed dworcem. Plecy woźnicy dokonały półobrotu i z pod nasuniętej na brew czapki wyjrzały bystre, migające oczy:
— Przepraszam... a gdzie pan swoją kubitę zostawił?
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

Madame
Liliana Dolores
Paris,
19, Boul. Magenta.

„Łaskawa Pani!
Jeżeli podpis mój — od którego z pewnością Pani zacznie — nie powie nic, proszę rzucić list mój między liczne adoracje innych wielbicieli. Jestem bowiem w bardzo dziwnem — nieporównanie dziwnem położeniu. Piszę — i nie wiem, do kogo. Kobiety są niezmiernie wrażliwe. Kimkolwiek Pani jest, nie chciałbym Pani urazić. Uśmiecha się Pani szczodrze, demokratycznie, do tysięcy — na płótnie. Proszę o jeden uśmiech — prywatnie. I o chwilkę uwagi. Jest pani uderzająco podobna do pewnej prześlicznej dziewczynki, którą kochałem przed laty piętnastu. Tak, kochałem. Dziś zawierzam to wielkie słowo Pani — (obcej, a może bliskiej?) — słowo, którego nie ważyłbym się wypowiedzieć nigdy głośno. Odeszła ode mnie beztrosko i lekkomyślnie, a nie chciałem jej zatrzymywać przy sobie. I nie mogłem. Teraz — niech jej Pani powie — że ból jej odejścia nie miał równego w całem mojem życiu. Dławiła mię tęsknota za jej przedziwnie pieściwą ręką, za jej oczami, których barwa była gamą kolorów od błękitu morza po zieleń dojrzałych oliwek. Mijały lata — przycichał ból — i znów jakaś świeża wiadomość rozdrapywała bliźniące się rany. Wiem, że wyszła zamąż, że wyjechała do Ameryki. Kiedyś marzyła o filmie. Ale marzyła i o wielu innych rzeczach... Pławiła się w sytuacjach płynnych i nieokreślonych, jak w swoim żywiole. Była dzika, pełna fantazji i kaprysu. Nazywałem ją „księżniczką Kaprys".
Na myśl o zobaczeniu jej czułem, że muszę mozolny trud zapominania rozpocząć od nowa. Dopiero wczoraj — w kinie, gdy na martwym ekranie ożyła twarz Pani, opięta wschodnim turbanem, jak nakazywała treść filmu — wtedy zrozumiałem, że dzieje mojej miłości są skończone. Gdybyż nawet moja tajemnicza księżniczka Irmela miała być tą samą — piękną, nie przeczę — ale obcą i bynajmniej nie zagadkową damą słusznego wzrostu i wschodniej (znów nakaz filmu, pamiętam o tem, droga Pani Liljano!) tuszy, to wolałbym nie narażać moich wspomnień na konfrontację z teraźniejszością.
Fakt, że łudzące podobieństwo nie wstrząsnęło mną do głębi, każe mi twierdzić z całą pewnością, iż jedyna poważna miłość mego życia doszczętnie wymarła. Albo też — że moja dziewczynka (Marysia było jej na imię, poprostu: Marysia) nie jest wspaniałą divą filmową Liljaną Dolores. Dlaczego żądam rozwiązania tego zawiłego dylematu właśnie od Pani, której mimo wszystko napisałem więcej impertynencyj, niż komplementów — trudno mi wyjaśnić. Ale gdyby w rzeczywistości była Pani właśnie „księżniczką Kaprys" — potrafiłaby się niczemu nie dziwić.

Brak odpowiedzi będę uważał za stwierdzenie mej omyłki, za którą — co za bezczelność! — jednak nie przepraszam...

Artur Janicki.

Warszawa, Senatorska 34".

— — — — — — — — — — — — — —

Miło jest kobiecie, gdy się dowie, że była kiedyś naprawdę mocno kochana. Nawet wtedy, gdy posiada na dożywotnią własność męża (o rasowej twarzy Adolfa Menjou), wykwintną śnieżno-białą Hispano-Suizę i własną twarz, rozklejoną w tysiącach odbitek na wszystkich afiszach paryskich. Nawet wtedy, kiedy dzień jest posiekany na drobne cząstki między studio a życie wytworne (ach! bardzo trudno w Paryżu być damą!) i kiedy niema już marzeń niespełnionych, jak chętnie myśli się o swoim własnym małym chłopcu, który umiał tak dojrzale milczeć i tak mądrze, wzgardliwie odejść! Wtedy (co za śmieszny sentymentalizm!) dłoń wyciąga z torebki... kasztan, który stał się mascotte, a oczy próbują odczytać z pomarszczonej jego skórki palimpset wspomnień — wspomnień o „sławskich" dniach...

Stop!

Na dany znak lśniąca limuzyna stanęła. Bureau de postes.

— Należy ci się, chłopczyku, za twój zaczepny list odpowiedź, godna „księżniczki Kaprysu"! Tyś jeden — słyszysz! — przez całe moje życie szanował i rozumiał mój kaprys! A to znaczy: w s z y s t k o.

Prędko, blankiet telegraficzny! Tylko kilka słów:

„Przyjeżdżaj natychmiast! Nie byłam Irmela, nie będę Liljana, jestem — T a s a m a".

Czy aby... naprawdę ta sama?

Pośpieszny, decydujący egzamin: wyciągnięte z torebki srebrne lusterko ma głos... Smutny, ale prawdziwy: wokół oczu „o barwie morskiej toni" podejrzane kurze łapki, brzoskwiniowa cera przyżółkła, owal twarzy nieco zbyt zaokrąglony, linje ust opuszczone ku dołowi...

Pocóż... konfrontować z przeszłością!?!...

— — — — — — — — — — — — — —

W okienku pocztowem zdumiona panienka podniosła głowę dogóry (w ferworze urzędowania wystarczy ręka wyciągnięta po blankiet) —.gdy czyjaś dłoń w zamszowej rękawiczce, mocno pachnąca dobremi perfumami sypnęła na papier strzępki podartej w drobne kawałki depeszy.

Dr. J. KACEW

SKÓRA, JEJ URODA I WADY

Przystępując do rozważania wad skóry, rozpocznę od tych zmian, które, ze względu na chłodną porę roku, obecnie najczęściej występują i o wielkie zgryzoty przyprawiają swe ofiary.

Oczywiście nie będę tu rozważał tych ciężkich postaci odmrożenia, które prowadzą do częściowej lub całkowitej utraty kończyny, a nawet — w szczególnie ciężkich wypadkach — do śmierci; mam na myśli jedynie niezliczone lekkie i najłagodniejsze przejawy, wywołane wilgotną, zimną lub nawet tylko chłodną atmosferą, i niepokojące nietyle subjektywnemi objawami przewrażliwienia, paleniem, kłuciem lub swędzeniem, a raczej swym stanem objektywnym, kosmetycznym. Do tych stanów należy *czerwono-sinawy nos, czerwone* obrzmiałe *ręce i nogi* i, wprawdzie rzadziej spotykane, czerwone zabarwienie całej twarzy.

Najczęściej cierpienia te spostrzegamy u ludzi niedokrwistych; zdarzają się jednak również i w tych wypadkach, w których niedokrwistości nie stwierdzamy. Następ-

nie podlegają tym postaciom t. zw. lekkiego odmrożenia osoby, zmuszone z zawodowych lub innych względów do długotrwałego przebywania bez ruchu w miejscach lub lokalach niedostatecznie ogrzewanych. Wreszcie, wśród przedstawicielek naszej płci pięknej, głównie wśród sfer, ślepo hołdujących wszelkim kaprysom królowej mody, tem częściej i jaskrawiej występują cechy odmrożenia, im krótsza sukienka, im cieńsza pończoszka, im węższy pantofelek lub rękawiczka i to oczywiście z najcieńszej subtelnej skóry. Doprawdy, szczęśliwy w skutkach okazał się kaprys Pani Mody, łaskawie zezwalającej na używanie botów, co znacznie zmniejszyło kontyngent pacjentek, odmrażających nogi.

Mówiąc o wpływie zimna, zaznaczyć należy znamienny fakt, że najbardziej groźnym momentem, wywołującym zaostrzenie, okazuje się niekoniecznie dotkliwy mróz, ale już jesienny chłód lub szybkie zmiany temperatury nawet latem. Zjawienie się jaskrawo czerwonych lub sinych plam na kończynach, z towarzyszącem temu swędzeniem, bólem, wrażliwością na ucisk, spostrzegamy wszak nawet pod wpływem łagodnego ciepła w pościeli; objawy te trwać mogą całemi godzinami i częstokroć znikają dopiero nad ranem.

Przed omówieniem leczenia, uważam za celowe poruszyć zagadnienie profilaktyki, tj. sposobu uchronienia, zabezpieczenia się przed poruszonem tu cierpieniem. Główny moment obronny, na który zwracamy szczególną uwagę, to — przeciwstawienie ciepła szkodliwej zimnej temperaturze. Wrażliwe ręce należy już wczesną jesienią zabezpieczać przed chłodem rękawiczką wełnianą lub jedwabną niezbyt obcisłą; wszelkiego rodzaju rękawiczki skórkowe, w szczególności „glacé", powinny być odrzucone bezwzględnie. Nogi należy chronić grubemi miękkiemi pończochami z wełny i nie nosić wąskiego obuwia.

Dobre źródło ciepła stanowią ruchy zarówno czynne (gimnastyka, sport, spacery, intensywne poruszania palców rąk i nóg o temper. od 37° do 50° C. dwa razy dziennie końce palców ku górze).

Wreszcie bardzo cennym środkiem są gorące kąpiele rąk i nóg o temper. od 37° do 50° C. dwa razy dziennie (rano i wieczorem), poczynając od 2 minutowych z przedłużeniem do 5 min. Jeszcze lepsze jest działanie t. zw. kąpiołek o zmiennej temperaturze, polegających na tem, że ręce (lub nogi) początkowo na ½ minuty, zanurza się do miski z gorącą wodą, następnie na ½ minuty do miski z wodą o temperaturze powietrza w pokoju, poczem znów do miski „gorącej" i ponownie do „pokojowej" i tak dalej w ciągu ½ godziny, zakończając seans zanurzeniem w wodzie pokojowej. Dobrze jest dodać do wody gorącej odwaru kory dębowej.

Przystępując bezpośrednio do omówienia leczenia poruszonych dolegliwości, tu, na łamach nie zawodowo lekarskiego pisma, oczywiście nie mogę zagłębiać się w rozważania, dotyczące stosowania tych czy innych preparatów farmaceutycznych, które zwykle w tych stanach zalecamy, gdyż, z jednej strony, może się to okazać zbyt nieciekawe, z drugiej zaś — i niecelowe, albowiem każdy przypadek musi być traktowany ściśle indywidualnie. Tak samo zresztą w dziedzinie leczenia metodami fizykalnemi: gdy w jednym przypadku dużą pomoc mogą okazać, masaż i galwanizacja, w innych, można osiągnąć wyleczenie jedynie dzięki stosowaniu Rentgena, lampy kwarcowej lub diatermji, czy też współczesnem kombinowaniem tych zabiegów.

Otóż rola lekarza specjalisty polega właśnie na umiejętnym wyborze metody leczniczej, dostosowanej do chwilowego stanu cierpienia. Tu też zaznaczyć muszę, że sukces w bardzo znacznym stopniu zależy od energji i cierpliwości pacjenta, gdyż najczęściej zwracają się do nas w przypadkach zaniedbanego, przestarzałego zaczerwienienia skóry, które ustąpić może dopiero, jak to zgóry można przewidzieć, po starannem i długotrwałem leczeniu.



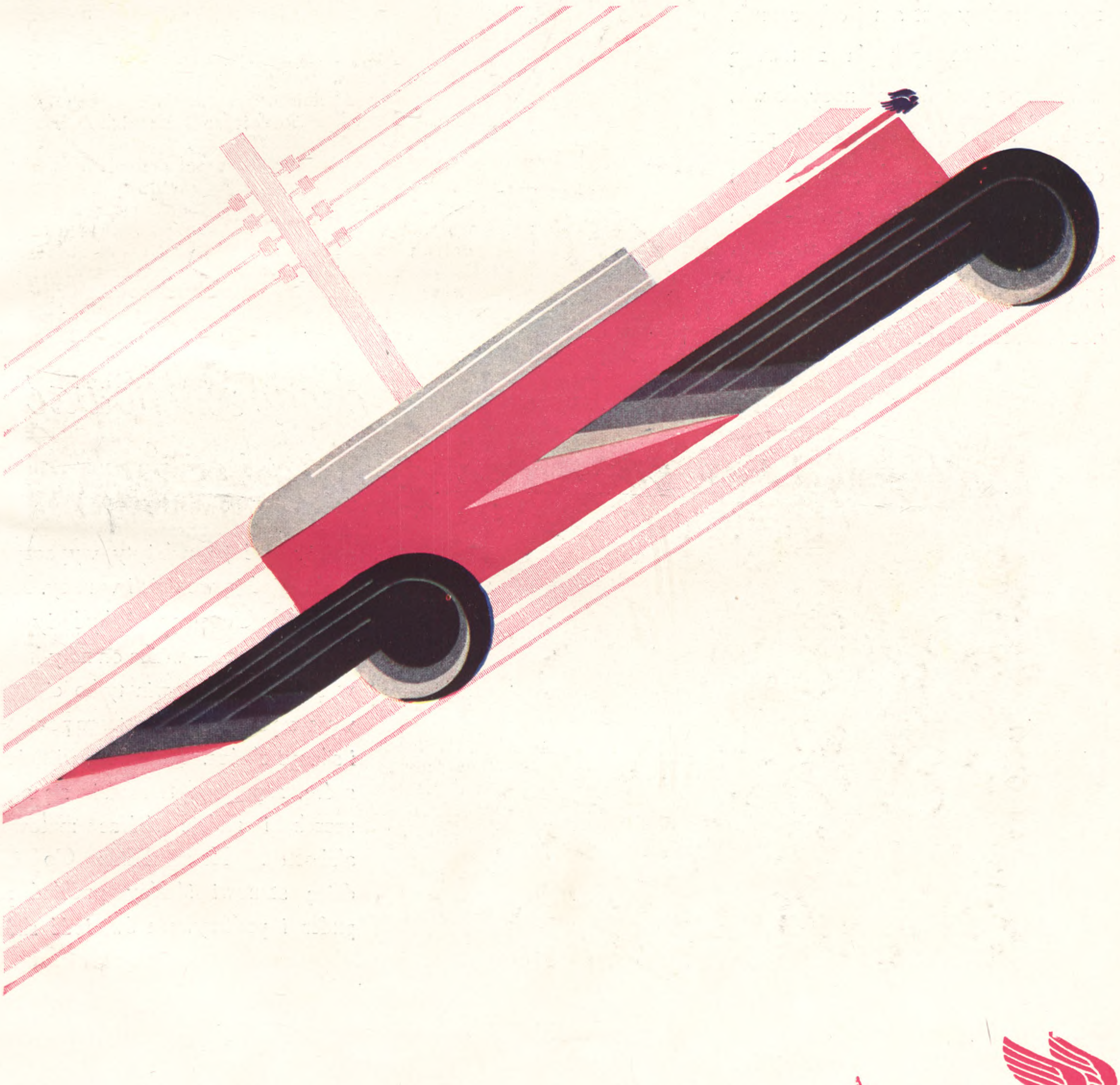
Niewolnica *Fot Paramount*

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-KA. Sp. z o. o.
Kierownictwo: Bolesław Karniszyn. Układ graficzny: art. mal. L. Chejfec.

Redakcja i Administracja: Mokotowska 26, tel. 525-85. Konto P. K. O. 16190.
Prenumerata półroczna (6 egzemplarzy) zł. 6.
Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 800; 1/2 strony zł. 450; 1/4 strony zł. 250. Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

JEDNAKŻE CHRYSLER.....



AUTO-KONCERN

WARSZAWA, WIERZBOWA 8

Kobiety mądre lubią sen —



Wiedzą one, iż dla utrzymania pięknej cery potrzebny jest sen i odpoczynek. Każda kobieta spogląda z trwogą w lustro po przetańczonej nocy, bo wie, że brak snu odbija się ujemnie przedewszystkiem na cerze. Lecz nietylko sen potrzebny jest dla pielęgnacji cery — Elida Coldcream jest idealnym środkiem dla jej ochrony i wypięknienia. Użyty na noc krem ten odmładza i odświeża skórę.

2 KREMY *do pielęgnacji cery*

chcąc zachować świeżą i piękną cerę



należy dać jej należyty wypoczynek i ochraniać ją we dnie i w nocy. Krem Elida Co Godzinę może być używany o każdej porze — wnika on natychmiast w skórę i pozostawia tylko cieniutką warstwę chroniącą od ostrego powietrza i silnego słońca. Działa zbawiennie na skórę, zapobiega tworzeniu się zmarszczek i nadaje skórze matowość alabastru. Krem Elida Co Godzinę stanowi idealny podkład pod puder i podtrzymuje świeżość skóry.

KREMY ELIDA

KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa. Drukowano farbami Sp. Akc. Dr. Rattner, Warszawa, Emilji Plater 10.